ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

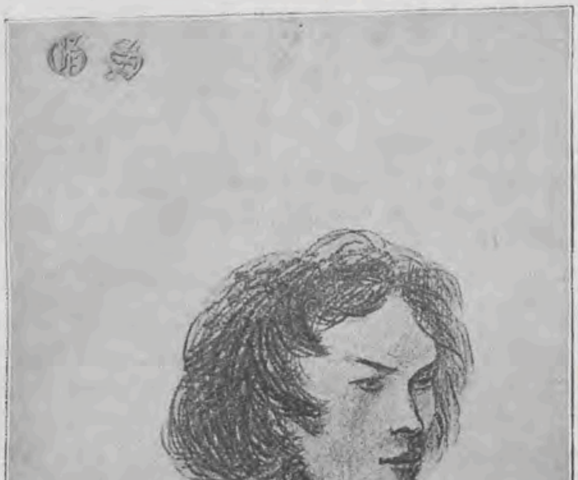
REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 29
WARSZAWA
DNIA 20 LIPCA 1913 R.

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ.

Z trzech synów wieszcza Adama pozostał przy życiu tylko jeden, Władysław, który dnia 28 czerwca r. b. zaokrąglił 75-letni żywot człowieka więcej zasłużonego dla ojczyzny, aniżeli ojczyzna o tem wie. Żywot Władysława Mickiewicza jest długiem, przez $^3/_4$ stulecia utkanem pasmem pracy, troski, bolu i męki,— męki, której ujściem i źródłem jest ów postrzępiony i wiecznie krwawiący się szmat Europy, który posiada najpiękniejsze, lecz zarazem może i najtragiczniejsze w geografji i historji imię: Polska.

Władysław Mickiewicz urodził się w Paryżu, w tym, który Polaków albo wynaradawia, albo polskość ich podnosi do takiej potęgi, jakiej przykład nam daje wielki syn Adama. W Paryżu napisał Władysław Mickiewicz prawie wszystkie swoje dzieła, mające za przedmiot znowu jedną tylko sprawę, ale od której niema dla niego droższej na świecie: sprawę polską. W Paryżu wreszcie pozostał Mickiewicz do dnia dzisiejszego, i stąd, z mostu de la Tournelle prowadzącego do bibljoteki polskiej, mieszczącej się w gmachu b. ambasady Polski, stąd, zatopiony w smętnej melancholji, kieruje swój wzrok na Wschód, tam, hen, daleko, gdzie Wisły i Niemna polskie płyną fale..



Adam Mickiewicz,
nieznany rysunek Eugeniusza Delacroix, wykonany na listowym papierze pani Georges Sand.

Wyobraźmy sobie starca, opartego o barjerę mostu kamiennego, starca o pięknej, siwej głowie, jakby wyrzeźbionej dłutem Fidjasza i przeniesionej tu wprost z Partenonu greckiego; długa, pokryta zmarszczkami twarz, będąca niejako żywą inkarnacją poety i filozofa, myśliciela i mędrca zapatrzonego w fale mętnej, ujętej w kamienne brzegi Sekwany, twarz ta uderza przechodniów, nie mogących zrozumieć po co ów starzec stoi na moście, dlaczego bystry, żywy swój wzrok utkwił w dali, dlaczego godzinami całemi nieruchomo się patrzy tam, w stronę Wschodu, i dlaczego tak ciężko wzdy-

cha, gdy olbrzymia, ołowiana chmura zasłania mu horyzont...

Przechodnie francuscy widoku tego nie rozumieją, ale nam, Polakom, ściska on serca i łzy w gardle dławi...

* * *

Najstarszy syn poety, Władysław Mickiewicz, urodził się, jak zaznaczyłem, dnia 28 czerwca 1831 r., tedy zaledwie kilka dni temu ukończył 75-ty rok życia. Kult dla genjuszu ojca objawił się w nim od najwcześniejszych lat. Wszakże oprócz wydawnictwa kompletu dzieł Adama, rozpoczął syn jego przekład francuski Słowackiego i Krasińskiego. Był on wszakże nietylko tłómaczem. Napisał kilkanaście dzieł oryginalnych, założył księgarnię i wydawał na bruku paryskim prace Polski dotyczące. Publicystyką zajmował się od zarania swej karjery pisarskiej i do dzisiejszego dnia zasila pisma polskie swymi cennymi artykułami, niestety, nie podpisując ich. Władysław Mickiewicz był więc księgarzem, wydawcą, autorem, publicystą i tłómaczem zarazem.

Z własnych prac ogłosił: *Note sur l'état des choses en Pologne* (Paryż, 1862); *Czartoryski, Wielopolski i Mierosławski* (tamże, 1863); *Lettre au comte Montalembert sur l'insurrection polonaise* (t., 1863); *La Pologne et les provinces meridionales* (t., 1863); *La question polonaise* (t., 1863). Był współpracownikiem pisma *Opinion national*. W r. 1866 został właścicielem księgarni polskiej w Paryżu i zaczął wydawać szereg książek oraz bibljotekę ludową polską po cenie 25 cent. za tomik. Napisał i wydał *Mémorial de la légion polonaise de 1848, créée en Italie par Adam Mickiewicz* (Paryż, 1877); *Inauguration du monument d'Adam Mickiewicz à Mont-Marency* (t., 1877). Opracował wykaz bibljograficzny wydań, rozbiorów i tłómaczeń dzieł ojca (1870—1880). Ogłosił wszystkie pisma Adama, przełożył wszystkie pisma Zygmunta Krasińskiego p. t. *Oeuvres complêtes du poete anonyme de la Pologne* (2 tomy, 1869). Przełożył na język francuski: Pamiętniki Janczara Polaka (1859); Powieści Kozackie Michała Czajkowskiego (1859); Pamiętniki Soplicy, Henryka Rzewuskiego (1859); Ulana, Bez serca—Kraszewskiego; Dzieła Adama Mickiecza, prozą (1870, 72, 79); Dzieła Ad. Mick. wierszem (1882); Orzeszkowej *Samsona* i *Juljankę* Mościckiego (1884). W r. 1880 ogłosił obszerny żywot swego ojca. Był współpracownikiem wielu poważnych czasopism francuskich, m. in. pisywał do *Revue politique et littéraire* i do *Revue bleue*, wspólnie zaś z Juljuszem Lerminem wydawał *Revue Universelle Internationale*. Władysław Mickiewicz wydał najcenniejszy, najbardziej źródłowy i najlepszy ze znanych dotychczas: *Żywot Adama Mickiewicza podług zebranych przez siebie materjałów oraz z własnych wspomnień* (Poznań 1890—1895, tomów 4). Jeszcze do niedawna był Mickiewicz współpracownikiem *Revue Universelle i XIX siècle'u*. Z pism polskich zasila artykułami *Kurjer Warszawski*, lwowskie *Słowo Polskie* tudzież *Tygodnik Ilustrowany*, gdzie drukował bardzo cenną i wielce ciekawą pracę p. t. *Pamiętniki polskie w Paryżu*.

Bibljoteka i Czytelnia polska w Paryżu, która jest jednocześnie stacją naukową Akademji Umiejętności w Krakowie ma za naczelnego dyrektora Władysława Mickiewicza i dzięki temu cieszy się rzadkim szacunkiem wśród tutejszej kolonji polskiej. Przy bibljotece mieści się Muzeum mickiewiczowskie, którem opiekuje się z religijnym wprost pietyzmem czcigodny syn poety. Dwa razy w tygodniu oprowadza Wł. Mick. ciekawych rodaków po skromnych salkach Muzeum i sam udziela objaśnień: „Oto pośmiertna maska poety“, „oto pióro Adama“, „tu są pamiątki z wykładów w Collège de France“, „a tam oto stoi biurko, na którem poeta napisał Pana Tadeusza” i t. d.

Stypendyści Akademji krakowskiej, kształcący się w Paryżu, wygłaszają odczyty w bibljotece polskiej, zwanej także bibljoteką mickiewiczowską, a najczęściej krótto: „Orleanką” (znajduje się na quai d'Orléans). Na tych odczytach przewodniczy zwykle Mickiewicz i misję tę spełnia z taką godnością i autorytetem, że dzięki jego obecności konferencje w „Orleance“ nabierają szczególnego znaczenia. Wiele osób przychodzi głównie w celu podziwienia pięknej i dostojnej postaci Władysława Mickiewicza.

W ubiegłym miesiącu kolonja polska obchodziła nietylko 75-letnią rocznicę jego urodzin, lecz jednocześnie i złote gody czcigodnego jubilata. Z okazji tej Polskie Towarzystwo Literacko-Artystyczne (prawego brzegu Paryża) urządziło nabożeństwo w kościele St. Germain-de-Près tudzież bankiet na cześć dostojnego jubilata i jego czcigodnej małżonki Marji z Malewskich. Na pamiątkę złotego wesela wręczono jubilatom

wykonany na heljograwiurze portret Adama, zdjęty z rysunku Eugenjusza Delacroix, który rysował poetę na listowym papierze George Sand. Artystycznie wykonana heljograwiura wyszła z zakładu fotograficznego Piotra Szumowa (5, faubourg St. Jacques), który uchodzi za „nadwornego dostawcę" kolonji polskiej. Oryginał rysunku Eugenjusza Delacroix znajduje się w paryskiem muzeum mickiewiczowskiem; jest to unikat, wcale szerszemu ogółowi nieznany i którego reprodukcja nie znalazła się dotychczas w żadnem piśmie polskiem ani francuskiem. Czytelnicy „Złotego Rogu" otrzymują pierwsi świetnie uchwyconą podobiznę wieszcza, według rysunku Delacroix. Reprodukcję tę wykonano w 250 egzemplarzach imiennych, które rozesłano do wybitniejszych członków polskiej kolonji.

Wraz z potretem Adama podajemy jednocześnie fotograficzne zdjęcie pierwszej strony adresu, który jako pamiątkę złotego wesela wręczyło Władysławowstwu Mickiewiczom Polskie Towarzystwo Literacko-Artystyczne w Paryżu. Dajemy również podobiznę Jubilata, dokonaną w ostatnich czasach. Do hołdów, składanych Władysławowi Mickiewiczowi, dołączamy i nasze skromne wyrazy czci. *S. A.*



Władysław Mickiewicz.

Paryż w lipcu 1918.

AUGUSTE RODIN.



Auguste Rodin.

Najznakomitszy rzeźbiarz współczesny Rodin, rozpoczął swą działalność artystyczną jako dojrzały 35-letni artysta, który umiał spokojnie i cierpliwie przygotować się do twórczej pracy, przetrwać okres młodzieńczej egzaltacji i tworzyć odrazu dzieła zrównoważone, wyrosłe z podłoża potężnej latyńskiej kultury.

Jedną z pierwszych prac Rodina był biust „Mężczyzny ze złamanym nosem". W rzeźbie tej Rodin podobnie jak *Donatello*, w swym „*Zuccone*", odkrywa całą głębią walki życiowej, jaką staczać musi człowiek z życiem, które trawi jego skórę, mięśnie i kości zostawiając na niej wyraźny ślad burz i nieszczęść żywota.

Rodin pojął w tej pierwszej pracy, ciało ludzkie, jako czuły instrument, który muzyką wyrazu, ruchu i gestu wyrazić może uczuciową charakterystykę człowieka. Grecy w rzeźbie swej oddawali spokojne typy charakterystyczne, Rodin, artysta dzisiejszego gorączkowego życia stwarza niespokojną ruchliwość momentu, charakteryzującą współczesną epokę. Grecy, po głębokiej kontemplacji wewnętrznej tworzyli przemyślane postacie niezawisle od czasu i epoki; ich akademicka rzeźba przenosi ludzi w zaświaty wiecznych uczuć. Rodin nadaje podobnie jak Grecy rzeźbom swym własne życie ogniskując je jednak bardziej w świecie uczuć, niżli zmysłów.

Łączenie i wyłanianie postaci Rodina, z potężnych bloków marmuru symbolizuje spokojną niezmienną w swych prawach przyrodę, wśród której fantastycznie krzewi się życie ludzkie. Rodin pojął tętno sztuki greckiej, gotyku i renesansu i tworzy dzieła równorzędne z dawnymi, lecz wypływające z ducha naszej epoki.

W słynnym posągu Balzaka uwydatnił Rodin cechę naszej epoki, w której niezdarne ciało dzisiejszej zdegenerowanej fizycznie ludzkości z okrzykiem „*cupio dissolvi*", wytęża mózg, w upragnieniu nowego odrodzenia.

Posłuchajmy, co wielki mistrz sam mówi o swej sztuce w pamiętnikach pani Judyty Claudel wydanych w Brukseli w 1909 r.

Gdy pewnego razu twierdzono, iż dzieła Rodina są oryginalne, odparł artysta poważnie: „Mylicie się, to nie jest wcale oryginalne. Oryginalność, (w rozumieniu publiczności) niema nic wspólnego z prawdziwą sztuką.



Auguste Rodin. Fryz do bramy piekielnej.

Prawda, iż są artyści, którzy nie mając daru cierpliwości wyczekiwania chwili, gdy w zupełności talent posiądą a tworząc przedtem rzeczy dziwaczne w treści i formie dalekie od prawdy, zwą to „oryginalnością". Ze sztuką jednak ten okres „ząbkowania" artystycznego, niema nic wspólnego".

W innem miejscu twierdzi Rodin:

„Japończycy są wielkimi czcicielami przyrody, którą poznali i przestudjowali w sposób znakomity.

Sztuka nie jest niczem innem jak tylko poznawaniem przyrody. Na tej nauce zasadza się wielkość sztuki klasycznej i gotyku.

W naturze tkwi jądro rzeczy. My sami z siebie nic nie wynajdujemy, nie jesteśmy twórcami...

Grecy przetwarzali, z pewną przesadą w charakterystyce kształtów, tylko to co widzieli. Czynili to uczciwie i sumiennie. I doprawdy, artysta musi być uczciwym!

Nie wystarczy, jeśli sobie w duchu powie, iż nieudały mu się pewne szczegóły rzeźby, czego publiczność nie dostrzeże.

Lecz chociaż publiczność nie zauważy, wy wiecie o tem i przybieracie zadowoloną, dumną pozę twórcy, który pokonał wszystkie trudności. Nie można być w niezgodzie z własnem sumieniem nawet wtedy, gdy chodzi o drobnostki. Drobnostki spowodować mogą łatwy upadek.

Sztuka wymaga takiej rozwagi, sumienności i cierpliwości, o jakiej pojęcia nie mają dzisiejsi ludzie a zwłaszcza młodzież. Zrozumieć to jej trudno a cóż dopiero działać? Żyje się dziś za gorączkowo, zawcześnie chce się wybić w rywalizującem otoczeniu, nie znachodzi się nawet czasu, by poznać dokładnie siebie, stopień i kierunek swego talentu.

Młodzi ludzie polują na pierwszą z brzegu „oryginalność", naśladując ją bez zastanowienia się, czy to cośkolwiek warte. Taka „oryginalność" niema racji bytu. Oryginalność tworzona dla oryginalności, staje się konwencjonalizmem, jak wszystko inne. Najpierw oprzeć się należy mocno o naturę, resztę zostawiając temperamentowi, który, jeśli jest prawdziwy a nie udany będzie się zawsze potęgował.

Wielu młodych artystów biega po muzeach a wychodząc z nich krzyczy: „Teraz jesteśmy odrodzeni, mamy duszę japońską, botticellowską i teraz z niej swą twórczość czerpać będziemy"!

W istocie rzeczy ci panowie mają inną duszę, lecz nie japońską i botticellowską, lecz złodziejską.

Zanikła tradycja pracy i terminowania u mistrzów. Anatol France twierdzi, iż dawniej uczeń dwa lata musiał zamiatać pracownię mistrza, farby rozcierać i służyć jako model



Auguste Rodin. „Z spiżowej epoki".

zanim nauczyciel pozwolił mu malować. Dziś za łatwo artystom wszystko przychodzi a zamiar artystyczny nie znachodzi czasu by mógł się zupełnie skrystalizować.

Pokonanie trudności nasuwających się i oporu, krzepi charakter i wyrabia siłę".

W innem miejscu twierdzi Rodin, „iż rzeźbiarz w przedstawieniu figury musi przesadzić w natężeniu muskułów i skrótów ramion, musi uwydatnić pewne miejsca większemi zagłębieniami, lub wyniosłościami, niżli to się spotyka w naturze. Rzeźba jest sztuką zagłębień i wyniosłości i nic niema wspólnego z gładkiemi o nie modelowanej powierzchni cackami. Laicy nazywają takie wymodelowane dzieło „nieskończonem". Tymczasem przeciwnie, tylko do ostatnich szczegółów wymodelowana figura daje wrażenie związanej całości, kryjącej w sobie odblask życia. Publiczność nie rozumie tego i nazywa dziełami sztuki, gładziutko wypolerowane figurki. Innych prac nie pojmuje, te wymagają ukształtowania się wyższego myśli i innego stopnia kultury artystycznej. Pérault, wielki rzeźbiarz twierdził: „Tamci uznają twory skończone, ja zaś nieskończone.



Auguste Rodin. „Burza".

Celem sztuki nie jest bojaźliwe kopjowanie przyrody. Odlew z natury jest najdokładniejszą kopją a jednak niema życia w sobie; brak mu wyrazu, ruchu, jest bezmyślny. Brak mu przesady!... Odpowiednia przesada w układzie płaszczyzn dodaje życia, podkreśla wdzięk, jeśli czyni się to ze smakiem i w sposób właściwy.

Wartość rzeźby tkwi w formie modelacji, w sposobie przeprowadzenia linji życia, wzdłuż zagłębień i wzniesień, w sposobie harmonijnego utrzymania światła i cienia. Nie można wykończać jednej partji kosztem innych, w dziele zaś całem musi być wszystko podporządkowane w utrzymującym całość, rytmie, stylizacji. Rodzaj i sposób przesady zawisły jest od smaku i temperamentu artysty".

Auguste Rodin w sztuce swojej stoi odosobniony mimo, iż wielu znalazł naśladowców i epigonów. Charakter jego twórczości jest zbiorowym wyrazem naszej epoki a dzieła jego należą do najwspanialszych, jakie wydał genjusz romańskiej rasy.

Marjan Dienstl.



Auguste Rodin. Fryz do bramy piekielnej.

Dzieje lokautu.

Wszelkie organizacje czy złe, czy dobre, przychodzą do nas zwykle po wypróbowaniu na zachodzie. Również i lokaut — wynalazek kapitalistów zagranicznych, dopiero po wielokrotnem i należytem wypróbowaniu, znalazł poraz pierwszy zastosowanie u nas przed sześciu laty w pamiętnej, zaciętej walce kapitału z pracą w Łodzi. Fabrykanci łódzcy, bogaci w doświadczenia, chwycili się i obecnie tego samego środka. Z tego względu warto przypomnieć dzieje lokautu, którego pierwsza organizacja stała się wypadkiem historycznym niepośledniej miary w dziejach naszego rozwoju ekonomicznego.

W r. 1905 fala rewolucyjna przyniosła znaczne zmiany w warunkach pracy robotników polskich. Bezrobocie, które ogarnęło całe Królestwo Polskie i wogóle olbrzymie terytorja Państwa Rosyjskiego, przybrało formę niebywałą przedtem. Ostatecznie robotnicy prawie wszędzie otrzymali podwyżki. Obliczano, iż 300,000 robotników w kraju, pobierających 67½ miljona rubli, w r. 1905 zyskały 15%, czyli 10,125,000 rb. Ilość kapitałów inwestowanych w przybliżeniu wynosiła dwa miljardy a dochody z nich 7%, czyli 140 miljonów. Otóż kosztem zaledwie ½% robotnicy zyskali 10½ miljona rubli podwyżki zarobków.

Niedługo jednak robotnicy korzystali ze swych zdobyczy. Przedewszystkiem podwyżki takiej, w teorji i w ogólnych obliczeniach nieznacznej, w stosunku do dochodów całego przemysłu, niewytrzymały przedsiębiorstwa pomniejsze, których główną pozycją kosztów produkcji była płaca zarobkowa. Rozpoczęły się tedy bankructwa i likwidacje. Tymczasem wrzenia robotnicze trwały w dalszym ciągu i przybrały charakter przewlekły. W wielu dziedzinach przemysłu zapanował zastój zupełny; przemysł nasz stracił nawet rynki najważniejsze. Największe wrzenia robotnicze rozwinęły się w Łodzi i tam przemysł największe straty poniósł.

Fabrykanci tedy, chcąc kres położyć strejkom, wypowiedzieli walkę robotnikom. Było to na schyłku 1905 r. Wielcy fabrykanci przemysłu bawełninianego zorganizowali związek, do którego przystąpiły: Towarz. akcyjne K. Scheiblera, Tow. akc. J. K. Poznańskiego, Tow. akc. Heizla i Kunitzera, Tow. akc. L. Grohmana, Karol Steinert, R. Biederman i H. Grohman. Związek tych wielkich fabryk, stanowiących większość przemysłu łódzkiego, przeniósł się do Berlina i stamtąd się porozumiewał. Porozumienie było niezmiernie trudne i w końcu wszelkie układy rozbiły się o jeden warunek: fabrykanci postanowili otworzyć fabryki, zamknięte na czas nieograniczony, tylko w takim razie, jeżeli będzie usuniętych 98 nieporządanych dla nich robotników, na co ogół robotników nie chciał się zgodzić.

Właściciele sześciu największych fabryk obarczali robotników następującymi ciężkiemi zarzutami: dezorganizacja pracy, kradzieże i złamanie karności. Przedstawiciele przemysłu stojący poza lokautem twierdzili, że lokaut był wywołany zupełną dezorganizacją pracy, mianowicie: masowemi kradzieżami, ilościowym i jakościowym upadkiem produkcji, bezwzględnem lekceważeniem rozporządzeń administracji fabrycznej i kierowników technicznych, ciągłemi strajkami z najbłachszych powodów, ustawicznemi żądaniami podwyżki płac, przechodzącemi granice ustępstw wykonalnych. W tych warunkach, zwłaszcza po skróceniu dnia roboczego i podniesieniu zarobków, współzawodnictwo z przemysłem rosyjskim, posiadającym przyjaźniejsze warunki, stało się niemożliwem. Lokaut — twierdzili przemysłowcy — narzucił się siłą konieczności fabrykantom najbardziej zagrożonym. Dążyli oni do tego, ażeby lokaut ogarnął wszystkie zakłady przemysłowe, „które nie chcą zginąć w ruinie". Nie widzieli oni innego sposobu uspokojenia robotników, jak „za pomocą głodu zmusić ich do poddania się i przekonać, że fabrykanci u siebie są panami".

Tymczasem robotnicy nie poddawali się, zapanowała śród nich okropna nędza a lokaut burzył coraz bardziej opinję publiczną. Nieprzejednana zaś postawa fabrykantów związkowych udaremniała wszelkie próby porozumienia się.

Wystąpiło jednak w roli rozjemcy Towarzystwo Kultury Polskiej. Na propozycję układów, podaną przez prezesa Towarzystwa, Aleksandra Świętochowskiego, fabrykanci odpowiedzieli listem następującym:

„Zmuszeni warunkami, zdecydowaliśmy się na zamknięcie fabryk naszych, aby wyraźnie zadokumentować robotnikom, że w ustroju społecznym, jaki panuje dotąd, rządzić w fabrykach naszych chcemy my sami i nie pozwolimy, aby w nich rządzili robotnicy; dalej — że wolność najmu, jak również rozwiązywanie umowy musi nadal obowiązywać obiedwie strony, jeżeli kiedykolwiek może być mowa o normalnych warunkach pracy. Dlatego właśnie przy pierwotnym wspólnym naszym kroku w tym kierunku, chwyciliśmy się takiego powodu i postanowiliśmy takie warunki, które niejako w poglądowy sposób miały ilustrować nasze postanowienie, że robotnikom *nie wolno* rozporządzać się w fabryce, nie wolno znęcać się nad ludźmi, którym powierzona jest piecza nad naszem mieniem, nie wolno wreszcie znieważać kierowników, którzy działają w naszem imieniu i przez to podkopywać powagę i władzę administracji fabrycznej. Chcieliśmy zadokumentować, że nadal podobne wybryki muszą pociągnąć za sobą *karę* a forma kary, jaką zupełnie świadomie wybraliśmy, miała zarazem zadokumentować robotnikom, że możemy i będziemy nadal posługiwali się prawem wydalania robotników wogóle"...

Inne oświetlenie sprawie dawali sami robotnicy, z którymi Towarzystwo Kultury Polskiej starało się również porozumieć. Według nich lokaut sześciu fabryk nie był wywołany koniecznością momentu i warunków, w których był ogłoszony, lecz posiadał znaczenie symboliczne. W r. 1906 strejkowano znacznie mniej niż w poprzednim. Fabrykanci przesadzali w

przedstawieniu obrazu anarchji. Wszakże fabryki, pomimo wszystko — twierdzili robotnicy — rentowały się dobrze; przynosiły dochód, nawet te, które w roku poprzednim niedały żadnego. Zresztą sami robotnicy na naradzie w fabryce Poznańskiego, postanowili przywrócić ład i prawidłowość biegu, zajęć oraz pieczę by materjał nie ginął i żeby go nie marnowano a wynikiem tych usiłowań było takie natężenie pracy, że musiano się hamować dla utrzymania równowagi w produkcji.

Wszystko to nie powstrzymało lokautu, który był tak dalece nieusprawiedliwionym naturą położenia, że się stał niespodzianką nawet dla niektórych członków administracji.

Robotnicy nie przeczyli, że z ich strony zdarzały się wypadki rozstrajania i przerywania biegu produkcji, ale nie zawsze one wynikały z samowoli, niedbalstwa i szkodnictwa, lecz stanowiły często odwet za niedotrzymanie zobowiązań i środek skutecznego oddziaływania na administrację fabryczną, która lekceważyła najpilniejsze potrzeby i najskromniejsze wymagania robotników". Zresztą śród nich samych ujawniła się wyraźna dążność do uporządkowania bezładu.

Towarzystwo Kultury Polskiej usiłowało jeszcze poraz drugi porozumieć się ze związkiem fabrykantów w Berlinie (za pośrednictwem jej członka, adwokata Patka). Ale, niestety, i te zabiegi nie dały żadnych rezultatów. Były bezowocne również wystąpienia osobiste bar. L. Kronenberga i hr. Adama Krasińskiego. Wszystkie te usiłowania rozbiły się o twardą stanowczość fabrykantów. Byli nieugięci i zwyciężyli. Dwadzieścia cztery tysiące robotników a łącznie z rodzinami około 75,000 ludzi, wyczerpało wszelkie środki, broniące ich przed głodem i nędzą. Poddano się warunkom fabrykantów.

Odtąd zapanowała normalna praca. Przemysł łódzki w krótkim okresie czasu zdołał powetować straty poniesione.

Fabrykanci zaś pozyskali bardzo wielką siłę: organizację lokautową, wypróbowaną z nadzwyczajnem i nadspodziewanem powodzeniem, gdy natomiast robotnicy w dalszym biegu wypadków stracili wszystkie swoje organizacje — związki zawodowe.

Dziś jesteśmy świadkami ponownej walki kapitału z pracą. Inne tło i inne warunki są tej walki. A jednak chwycono się znowu owych wypróbowanych środków: lokautu. Wprawdzie nie jest on takim jak w r. 1906-7, nie jest formalnym związkiem fabrykantów, ale istnieje solidarność lokautowa, istnieją lokautowe środki walki, bo przecież odpowiadanie na strejk nietylko ogółu robotników danej fabryki, ale nawet jednego jej oddziału zamykaniem zakładu na czas nieograniczony, nie jest niczem innem, jak tylko lokautem. Zamiast tedy związku lokautowego, istnieje lokaut fabryk poszczególnych. Jaki on wyda owoce, w tej chwili trudno jeszcze przewidzieć z całą ścisłością.

Z. Pietkiewicz.

Stylizacja w malarstwie.

Polemiki i walki, nieraz bardzo zawzięte, jakie w ostatnich kilkudziesięciu latach stoczono o nowe kierunki w sztuce, miały przedewszystkiem tę dobrą stronę, że spowodowały większe poszanowanie dla indywidualności twórczej artysty, a następnie, że uwalniając go od wszelkich oficjalnie uznanych szkół i protegowanych metod, dały mu w rękę wolny wybór środków technicznych, za pomocą których pragnie się wypowiedzieć. Zyskała zaś na tem głównie sztuka sama, — jeżeli pojmować ją będziemy jako całokształt wszelkich wysiłków twórczych stała się pełniejszą, bogatszą, zyskali także i poszczególni artyści, którzy w wypowiedzeniu swej najistotniejszej treści duchowej, mogą a nawet już powinni być przedewszystkiem sobą. Utyskiwania na anarchję w sztuce, świadczą tylko o pewnem ograniczeniu i zaśniedziałym konserwatyzmie pojęć, a więcej może jeszcze o braku zrozumienia historycznego jej rozwoju, albowiem każda wielka sztuka była zawsze rewolucyjną i indywidualną, a tylko poddawanie się jej pewnym powszechnie uznawanym dogmatom stanowiło chwilowy jej upadek lub wyczerpanie.

Teraz właśnie przeżywamy taki okres „anarchji" w sztuce, okres gorączkowego szukania, istotnie twórczego fermentu. Obok zwolenników klasycyzmu równe prawa obywatelstwa zdobyli już sobie impresjoniści i plein-airzyści, styliza-



Jan Trzaska. „Studjum".

torzy, pointyliści, rondyści, a nawet kubiści i futurzyści — tylko, że jedni z nich większe a drudzy mniejsze zjednali sobie grono wielbicieli, albo też mniej, lub więcej zawziętych wrogów.

U nas coprawda walki te z daleko mniejszym toczyły się temperamentem, były one raczej tylko słabem echem z Zachodu; niektóre niektóre dość żywotne na Zachodzie kierunki nawet wcale do nas nie dotarły, znamy je zaledwie z teorji, niemniej jednak wywołały one, szczególnie w samym początku, dużo zamętu, tem więcej, że trudno nieraz było rozróżnić rzeczywiście nową i niezwykłą a przytem szczerą indywidualność twórczą od fałszywej i pod cudze zdobycze podszywającej się pozy. Oczywiście nie trwało to długo. Talent, jak i prawda, zawsze zwycięsko utoruje sobie drogę, pomimo mglistej opony, pomimo chwilowo nasuwających się przeszkód. W rezultacie też teraz, po kilku zaledwie latach względnie zdobytej swobody, gdy i szeroki ogół przejął się już pewnego rodzaju liberalizmem w sądach o rzeczach sztuki, teraz już i najzagorzalsi przeciwnicy wszelkich nowych kierunków nie mogą nie przyznawać, że przecież sztuka w swym pochodzie rozwojowym poczyniła, w ostatnich szczególnie czasach, nadzwyczajne zdobycze i dzięki tym właśnie rozszerzonym i urozmaiconym środkom technicznym, dzięki tym różnorodnym sposobom dążenia do wspólnego ideału i wypowiedzenia wyzwalającej się treści duszy, nabrała pełniejszej fizjonomji, stała się większą, szerszą i bogatszą.

W epoce szablonu artyści mają zadanie znacznie ułatwione; wystarczy bowiem przy pewnej nabytej sprawności technicznej, dojść do diapazonu danej, powszechnie przyjętej formułki, ażeby zyskać sobie ogólne uznanie. W epoce rozwiniętego indywidualizmu stanowisko artysty jest o wiele trudniejsze; tutaj czerpać i tworzyć on może tylko z siebie, a musi posiadać obok równie dobrej umiejętności technicznej jeszcze szczery i prawdziwie twórczy talent. A takich talentów jest mało, przedewszystkiem tak s z c z e r y c h i odważnych, by dojść aż do ostatnich konsekwencji ich skłonności. Dlatego też z radością powitać należy każdą objawiającą się w tym kierunku zapowiedź, a tembardziej, gdy skrystalizowała się już w zwartych i skończonych w sobie dziełach sztuki. Jako taką zapowiedź szczerego i oryginalnego talentu uważam obrazy Jana Trzaski. Zwróciły one na siebie szczególniejszą uwagę na urządzonej kilka miesięcy temu, staraniem salonu artystycznego „Sztuka" „Wystawie Niezależnych"; pojawiają się też raz po raz na wystawach (ostatnio na „wiosennej") w Zachęcie. Główną zaś i charakterystyczną ich cechą jest bardzo intensywna stylizacja, czyli nadewszystko dekoratywne rozwinięcie linji.

W malarstwie polskiem stylizacja jako kierunek artystyczny, jeszcze dość słabo jest rozwinięta. Powstała głównie na podłożu sztuki ludowej, w chwili, gdy sztuka czysta, doszedłszy już do największej doskonałości technicznej, a zmęczona bezpłodnością dotychczasowych wysiłków, zaczęła poszukiwać nowych środków wypowiedzenia się i pomiędzy innymi zwróciła się także do prymitywnej twórczości ludowej, spodziewając się tu znaleźć pewnego rodzaju odświeżenie w szczerej i naiwnej prostocie. Istotnie też wartości artystyczne, jakie w tej prymitywnej sztuce ludowej odkryć zdołano, były wcale nieposlednie, a podniesione do wyżyn wielkiej sztuki prawdziwych artystów, zupełnie nowe i niespodziewane przed oczyma naszemi roztoczyły widnokręgi. Przedewszystkiem jednak znalazły szerokie zastosowanie w malarstwie ściśle dekoracyjnem i sztuce stosowanej.

Odnośnie do obrazów Jana Trzaski, nietylko o technice chcę mówić, jakkolwiek może właśnie ta technika, czyli rodzaj wypowiedzenia się za pomocą pewnych kombinacji stylizowanej linji i szerokich, ostro odgraniczonych płaszczyzn stanowi zasadniczą cechę ich indywidualności. Chodzi mi głównie o wyraz, o to, co artysta za pomocą takich właśnie środków potrafił dać z siebie i co wyróżnia go od innych. Popatrzmy więc na portrety malowane techniką *pochoir*. Słowo „pochoir" trudno jest spolszczyć; oznacza ono dość rozpowszechniony we Francji sposób



Jan Trzaska „Studjum".

malowania na wzór wycinanki ludowej, czy też aplikacji, a polegający jedynie na nałożeniu światła, lub cieni na pewien zasadniczy ton. I tu jest rzeczą wprost zdumiewającą, że przy użyciu tak prostych środków, bo tylko symetrycznie wymierzonej linji i zaledwie trzech, z grubsza narzuconych tonów barwnych, wrażenie całości jest tak łudząco plastyczne, odczuwamy nawet wyraz i charakter modelu. Bo ta skłonność do stylizacji, do form najprostszych, lecz przytem najbardziej zasadniczych, objawia się nietylko w *„pochoir'ach“* Jana Trzaski, które jako wykonane według pewnych, dość zresztą osobliwych schematów, możnaby ostatecznie uważać tylko za sztuczki malarskie, lecz także i w portretach jego i krajobrazach dowolnych a więc robionych wprost z natury i bez żadnego schematu. Tutaj już ten sposób patrzenia na świat i rzeczy jest zupełnie indywidualny; tutaj też widzimy już bezwzględną szczerość wobec tych założeń, jakie postawił sobie artysta. Czy jest w nich równie bezwzględna szczerość wobec natury? — Zdaje mi się, że tak, tylko sposób jej pojmowania jest inny, albo — że się tak wyrażę — jest to natura widziana z oddali.

Gdy popatrzymy bowiem na jakiś skrawek natury z pewnej odległości, nie dostrzeżemy wszystkich tych drobnych szczegółów, które moglibyśmy zobaczyć dokładnie zbliska, widzimy raczej tylko zasadnicze kontury i płaszczyzny, nadające jednak danemu krajobrazowi styl i charakter. Podobnie widzimy człowieka w pewnem oddaleniu, także tylko jako plamę o mniej lub więcej wyraźnych i charakterystycznych zarysach, poprostu jego sylwetkę a pomimo to przeczuwamy, że przecież posiada on oczy, usta, nos i wogóle wszystko, co — mówiąc stylem biblijnym — jego jest.

Taką sztuką widzianą z oddali wydają mi się obrazy Jana Trzaski. Typowym pod tym względem jest bardzo zresztą dekoracyjnie skomponowany obraz „W ogrodzie“. Widzimy tu sylwetkę kobiety na tle malowniczo rzuconych kompleksów drzew i to w takim oddaleniu, że nasamprzód rzucają nam się w oczy kontury i plamy, przedewszystkiem plamy światła i cieni, a drobniejsze szczegóły, jak rysy twarzy, nos, oczy, usta siedzącej ze szkicownikiem kobiety już zaczynają się zacierać, ale są jeszcze tak wyraźne, że przy dobrej woli moglibyśmy je sami — jeżeliby kto upierał się przytem — szczegółowo wykończyć. Dla artysty jest to jednak zbyteczne; dał tu już bowiem wszystko, co uważał jako podstawowe i zasadnicze jednem słowem: swój styl. Oczywiście, potrzeba tu już dużej znajomości form, wyrobionej techniki rysunkowej i wyczucia konturów bryły, ażeby przy takiem uproszczeniu nie rozminąć się z poprawnością kształtu i módz nadać mu tyle wyrazu.

Czy sztuka taka jest piękna? — Odpowiedź może być tylko jedna: jest to rzeczą gustu. Jedni lubują się w finezyjnem wykończeniu drobiazgów, inni znowu wolą tych rzeczy syntezę. To tylko jest pewne, że sztuka ta wypływa z charakteru obecnego wieku nerwów, w którym człowiek żyjąc zazwyczaj życiem bardzo gorączkowem i nerwowem, niema czasu do zagłębiania się w szczegóły, a chciałby od razu poznać samą tylko treść wszechrzeczy. Nie mam atoli bynajmniej zamiaru zalecać tej sztuki do naśladownictwa. Rezultaty mogłyby być fatalne dla tych, którzy do podobnych przekonań nie doszli własną drogą. U Jana Trzaski taki pogląd na świat i rzeczy wynika z jego wewnętrznego *ja*, jest zupełnie indywidualny, a w sposobie wypowiedzenia go widać jakieś ,,tak chcę!'' artysty, bez względu na to, czy to się komu podoba lub nie podoba. I jeżeli jeszcze nie za dotychczasowe prace, które uważam tylko jako zapowiedź dzieł o wiele doskonalszych, to w każdym razie za tę śmiałość i odwagę przekonań, jaką w nich ujawnił, składam mu uznanie.

Feliks Lubierzyński.

WYSTAWA KIJOWSKA.

Ciekawe jest zestawienie instytucji rządowych i społecznych biorących udział w wystawie wraz z tem, co ofiarowały bezpłatnie. I tak: *Kijowski zarząd miejski* wyasygnował zapomogą w sumie 30 tys. rubli, oddając całe terytorjum placu św. Trójcy i sąsiadujące z nim wzgórza esplanady b. fortecy. Pozatem wzniósł cztery kapitalne pawilony, gmach szkół miejskich, wreszcie bezpłatnie oddał do użytku wystawy dom ludowy z jego budynkami. Nadto Zarząd miejski ulepszył bruki ulic wiodących na plac św. Trójcy, ofiarowując znaczną ilość roślin ze szkółek i oranżerji miejskich.

Czynny udział nietylko w samej wystawie ale i w jej organizacji wzięło *Ziemstwo gubernjalne*—udzielając zapomogę w 30 tysiącach rubli i budując wspaniały pawilon dla okazów ze wszystkich dziedzin gospodarki ziemskiej. Skłoniło też do wzięcia udziału w oddziele ogólnoziemskim i rękodzielniczym szereg innych ziemst z kresów, Litwy i Białorusi. Ono również organizuje specjalne zjazdy, dotyczące poszczególnych gałęzi gospodarstwa.

Z instytucji rządowych — wymienić należy *Ministerjum Przemysłu i Handlu, główny Zarząd Rolnictwa, Zarząd stadnin państwowych*, tenże udzielił 30 tys. na urządzenie okręgowej wystawy koni i 5 tys. na zjazdy hodowców i właścicieli stadnin.

Wydział meljoracji rolnych głównego Za-

rządu rolnictwa wzniósł obszerny pawilon, urządził pokazowe szkółki, pólka doświadczalne i roboty moljoracyjne około wzmacniania piasków, wąwozów i jarów, które jak wiadomo stanowią plagę gubernji połud.-zachod. Tenże depertament rolnictwa asygnował 5 tys. rubli na oddział drobnego przemysłu. W pawilonie ministerjum przemysłu i handlu demostrowane będą wyroby szkół przemysłowo-artystycznych, politechniki, warsztatów szkolnych, Kijowskiego instytutu handlowego i szkół komeracyjnych.

Ministerjum Komunikacji zezwoliło na udział w wystawie Kijowsk. Okręgowi komunikacji i Zarządowi Kolei Połud.-Zachod. Obie te instytucje mają własne pawilony, a kolej Połud.-Zachodn. zademonstrowała wagon wykwintny nowego typu, wagon-restaurację, spacerowy II i III klasy, oraz *sanitarny* — zadowalniający ostatnie słowo wymagań w tym kierunku. Poza tem widzimy jeszcze parowóz nowej konstrukcji o szybkości 120 wiorst na godzinę — wykonany w fabryce Sormowskiej. Ciekawe tablice z cyframi zaznajamiają zwiedzających ze wzrostem ruchu osobowego, towarowego i przewozowego. Ten ostatni zależny jest, jak mówią cyfry, od warunków politycznych, ekonomicznych i nawet urodzaju. Najbardziej wzmaga się przewóz materjałów leśnych i węgla—najmniejszą tendencję ujawnia—zboże. Co do ruchu osobistego—wahaniom ulega klasa I i II—najmniejszych zaś nie zdradza klasa IV, która to w ostatnich 18 latach—wykazuje wzrost ruchu powiększony o 339 razy z ułamkiem. Nowego typu block-aparat pomysłu Siemens i Halske, telegraf dający możność wysyłania jednej depeszy w kilku naraz kierunkach, doskonały sposób zamykania coupé z wewnątrz—dopełniają ciekawych eksponatów—włącznie z okazami robót ślusarskich, stolarskich różnych szkółek i warszatatów kolejowych.

Ministerjum Oświaty wzięło udział za pośrednictwem kilku okręgów naukowych, uniwersytetu św. Włodzimierza, a ponieważ eksponatów zebrało się znacznie więcej niż przypuszczano, część ich mieści się w Muzeum Pedagogicznem w mieście, na ulicy Wielkiej Włodzimierskiej.

Ministerjum Skarbu reprezentuje Bank Państwa w osobnym pawilonie. Demenstruje modele składów zboża i elewatorów.

Oddział Żeglugi mieści się w dwóch pawilonach,jeden z nich wyobraża *latarnię morską*— z przybudówkami — tam też umieszczono okazy floty ochotniczej. Na ścianach mnóstwo fotografji przedstawiających ładowanie towarów na statki, widoki portów oraz kartogramy podające poglądowo stan wywozu towarów w kilku ostatnich latach. Jest też specjalny dział rosyjskiego Towarzystwa transportowo - ubezpieczeniowego. Z pośród całego szeregu prywatnych firm—najwcześniej wykończyły swe pawilony i ustawiły w nich eksponaty—firmy maszyn rolniczych. Hale przeznaczone na Przemysł i Handel stoją puste — roboty tapicerskie rozpoczęte wprawdzie, ale wnętrza zapełniają się bardzo powoli. Wspaniale urządzony pawilon firmy Einem został w tych dniach otwarty—cukiernia Frangów na najwyższym szczycie wzgórz oczekuje na gości — ale frenkwencja, mała bo dostać się do tego raju, to wędrówka przez siedm piekieł. Błoto po ciągłej i upartej słocie, kałuże, cegła i kamienie oraz strome schodki—oto droga, którą przebyć trzeba zanim cudowny widok, jaki u stóp się roztoczy, wynagrodzi te trudy i znoje. Widok jest istotnie niecodzienny, zwłaszcza w świetle wieczornem, gdy zapłoną lampy i fontanna świetlana wystrzeli barwnym kwiatem, mieniącym się jak czarodziejska wizja Szecherezjady.

(d. c. n.) *Kijowianin.*

RAID SAMOCHODOWY.



Postój w Radomiu uczestników raidu T. A. K. P.

Protokół Klubu Automobilistów Królestwa Polskiego z raidu samochodowego, odbytego w dniu 5, 6 i 7 lipca opiewa:

„Komitet organizacyjny jazdy konkursowej na samochodach, po sprawdzeniu książek drogowych maszyn, które jazdę konkursową odbyły, oraz po dokonaniu szczegółowych oględzin niżej wymienionych samochodów uznaje, że cztery maszyny, a mianowicie:

Mercédes bezwentylowy—Konstantego hr. Broel-Platera, Mercédes wentylowy, braci Raczyńskich, Case, Klemensa Starzyńskiego i Studebacker, Marka Badiora, punktów karnych nie mają, komitet przyznaje:

Nagrodę I-szą (żeton złoty) Konstantemu hr. Broel-Platerowi, za Mercédes bezwentylowy z zasady:



August Rodin. Henryk Rochefort.

a) że szybkość średnią wykonał; b) że osiągnął szybkość maksymalną o 5140 metrów ponad przepisaną normę, co się wyraża w 51 punktach dodatnich.

Nagrodę II-gą (żeton srebrny) bracia Raczyńscy za Mercédes wentylowy z zasady:

a) że szybkość średnią wykonał; b) że maksymalna osiągnięta szybkość jest niższa od normy przepisanej o 1503 metry, co się wyraża w 15 punktach ujemnych.

Nagrodę III-ą (żeton bronzowy) Klementowi Starzyńskiemu za „Case“ z zasady:

a) że szybkość średnią wykonał; b) że maksymalna osiągnięta szybkość jest niższa od przepisanej normy o 3777 metrów, co się wyraża w 37 punktach ujemnych.

Co się tyczy 4-ej z rzędu maszyny (Studebacker), to maszyna ta średnią szybkość wykonała, jednakowoż przy szybkości maksymalnej osiągnęła o 13,128 metrów mniej, niż przepisana norma, co się wyraża w 121 punktach ujemnych.

Henryk Rochefort.

Zmarły w dniu 3 lipca w Aix les Bains margrabia Henryk Rochefort-Lucay, urodzony w Paryżu r. 1830 — to osobistość w całem tego słowa znaczeniu indywidualna, człowiek n i e z w y k ł e g o temperamentu politycznego, działacz i publicysta wybitnie energiczny i ruchliwy, którego nazwisko przez długi szereg lat służyło za s z t a n d a r stronnictwom radykalnym i opozycyjnym.

Życie jego było szeregiem walk, uprawianych namiętnie. Pochodził ze starej rodziny arystokratycznej, która jeszcze w XVI wieku wiernie stała na usługach absolutyzmu. Zmarły margrabia był mimo tych tradycji komunardem, republikańskim ministrem bez teki; deportowanym skazańcem, urodzonym polemistą i pamflecistą, człowiekiem umiejącym w całej Francji najostrzej łajać i przytem być najdystyngowniejszym salonowcem,—kląć, jak dorożkarz i być uprzejmym i wyszukanie miłym, jak prawdziwy wielki pan.

Pisywał w dziennikach „Soleil“ i „Figaro“. Gwałtownie opozycyjny ton jego artykułów spowodował jego rozstanie się z temi pismami.

Wówczas założył słynną radykalną „Lanterne“, z której przez długie lata prowadził zacięte na drugie cesarstwo ataki. Na krótki czas przed rokiem 1870 był uwięziony za przestępstwo prasowe, a skoro go wypuszczono, opozycja urządziła mu pochód tryumfalny. Wyrósł na politycznego bohatera ulicy paryskiej. Potem przyszła wojna. Kiedy wściekłość ludu wygnała cesarzową Eugenję z Tuilerji został członkiem rządu. Ale wkrótce ustąpił z tego stanowiska, na którem przeszkadzała mu wciąż jego niechęć do wszelkiego podporządkowywania się drugim. Po upadku Napoleona został komunardem i zaczął pisywać podniecające i podżegające artykuły, które działały silniej od bomb. W r. 1880 po amnestji powrócił do kraju, założył dziennik „L'Intransigeant“ i znów rozpoczął dawną walkę opozycyjną. W r. 1887, za propagandę bulanżyzmu znów został oskarżony i skazany na więzienie, ale znowu uciekł, powrócił w r. 1906 do kraju i znów z całą namiętnością występował przeciw „dreyfussard'om“ i osławionemu „syndykatowi“; ale z upadkiem i zakończeniem sprawy Dreyfusa zakończył się i jego wpływ polityczny. Wyczerpała się jego siła, została jeszcze tylko namiętność. Rozstał się z „L'Intransigeant'em“ i wszedł do antysemickiej „Patrie“. Na tem stanowisku umarł.

TEATR

TEATR LETNI.

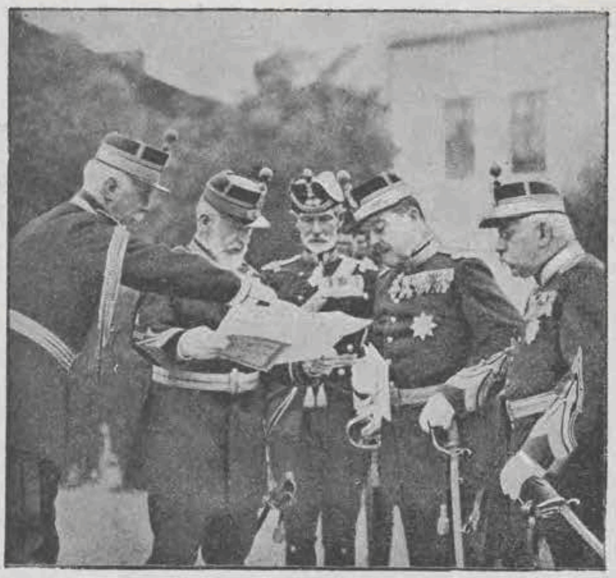
„Modne małżeństwo“, komedja w 3-ch aktach, Paula Auernheimera.

Auernheimer, autor „Najszczęśliwszego czasu“ i „Modnego małżeństwa“, sztuk grywanych z powodzeniem w wiedeńskim Burgteatrze, jest typowym wiedeńskim *causeurem*.

Akty komedji płyną, niby stronice groteskowego feljetonu, jednego z „Weltblattów. Postacie komedji przewijają się zgrabnie i szykiem właściwym wytwornym mieszkańcom Kärntenringu.

Wiedeńska serdeczność i lekkomyślność dzieci stołecznego miasta otacza sympatją bohaterów sztuki, rekrutujących się z sfery „Caffehauspflanze“. Auernheimer nie sili się na satyrę, lub głębszą ironję życia, właściwą Schnitzlerowi, traktuje bohaterów swoich pobłażliwie, kpiąc sobie potrosze z nudzących się lieben Wienerkinder.

Artyści z p. Lubicz-Sarnowską i Śliwickim na czele, grali świetnie. Nie zdołano jednak natrafić na ton właściwy komedji, oddający koloryt lokalny Wiednia, z jego flottes Leben z Biedermeierem. *m. d.*



Sztab rumuński.

Polityka

„Kocioł bałkański“ od dwu tygodni znowu w ogniu. Zawiść i chciwość przy podziale wojennych łupów, wystąpiły wśród dawnych sprzymierzeńców z pierwotną dziką brutalnością.

Bułgarja, która sposobiła się już do roli słowiańskich Prus, osaczona przez Serbję, Grecję i wreszcie Rumunję, utraciła już mir zwycięzcy i po licznych krwawych bratobójczych bojach błaga mocarstwa o interwencję.

Pod Egri Palanką z dwu stron naciskają armję bułgarską siły serbskie. Na linji Radowiszta-Strumica połączyły się już wojska greckie z serbskimi, w czasie, gdy na terytorjum bułgarskie wkroczyła już świeża armja, rumuńska.

Wypadki mkną na Bałkanie jedne za drugiemi, sprawiając coraz większe zamieszanie w gabinetach dyplomatycznych Europy.

W smutnej wojnie obecnej wychodzi na jaw okrutny cynizm przemocy militarnej i rozpasanie nizkich instynktów narodów.

Wojna obecna z powodu motywów wybuchu i okrucieństwa w prowadzeniu, należy do najsmutniejszych w historji Słowiańszczyzny.

Na załączonych fotografjach widzimy członka sztabu, jeneralnego rumuńskiego, odbywających naradę w sprawie okupacji górnej Bułgarji, którą już częściowo dokonano.



Konstanty XII król grecki z prezesem minist:ów Venizelosan na placu boju.

PREMJUM ARTYSTYCZNE „ZŁOTEGO ROGU“.

W dniu 20 lipca r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, rozlosowanie między naszych **półrocznych** i **rocznych** prenumeratorów, artystycznego premjum za czerwiec r. b., na które składają się następujące obrazy:

1) **S. Biedrzyński** — „Kwiaty“.
2) **S. Gałczyński** — „Nad jeziorem“.
3) **S. Gałczyński** — „Przedwieczerz“.
4) **R. Radwański** — „O zachodzie“.

Uwaga. Prenumeratorowie, otrzymujący pismo nasze przez księgarnie, zechcą za pośrednictwem odnośnych księgarń, podać swe adresy.

Administracja „Złotego Rogu“.



Femina

Z TEATRU LETNIEGO — „MODNE MAŁŻEŃSTWO".

OPIS TUALET.

Akt I. P. Lubicz-Sarnowska, Suknia podróżna z wełny *damier*, w paski białe z popielatym. Płaszcz automobilowy popielaty. Toczek *auto*, zielony z szalem koloru *champagne*.

P. Pichor Strój automobilowy. Piękny biały płaszcz, toczek *auto* biały z białym szalem.

Akt II. P. Lubicz-Sarnowska (nasza rycina). Kostjum sportowy do jazdy konnej po męzku. Miłe sportowe spodnie sukienne, ciemno granatowe, długie czarne lakierowane buty, koszula biała z *drap de dames*, pas szeroki ze sznurków (ficelles) Całość idealnie zgrabnej postaci uroczej artystki. Trudno o bardziej udane sportowe zjawisko.

P. Pichor. Jak zawsze bajecznie szykowna i wytwornie elegancka. Strojna tualeta wizytowa. Suknia *modern style* biała adamaszkowa misternie drapowana, biała stylowa kryza z koronek, przybranie z czarnych aksamitnych guziczków. Wysoki toczek pokryty krepą *orange* z koroną z białych Indyjskich piórek. Płaszcz aksamitny granatowy wspaniały biały lis na ramionach. (rycinę podamy w następnym numerze).

Akt III. P. Lubicz-Sarnowska. Biała karbowana z *satin lainé*, szarfa *cerise*, z *crepe de Chine*. Kapelusz *capeline* z czarnej gazy, z czarnym olbrzymim gazowym motylem.

P. Pichor. Strojna niezmiernie gustowna tualeta wizytowa. Spódnica *satin feutré* koloru *champagne* prześlicznie upięta, na przodzie przybranie zwane *panne* czarne aksamitne zdobne haftem wschodnim. Bluza *aeroplan* z białego *chiffon* na wierzchu *weste* z koronek *champagne* kapelusz biały z fantazyjnem czarnem upięciem.

Marcèle.

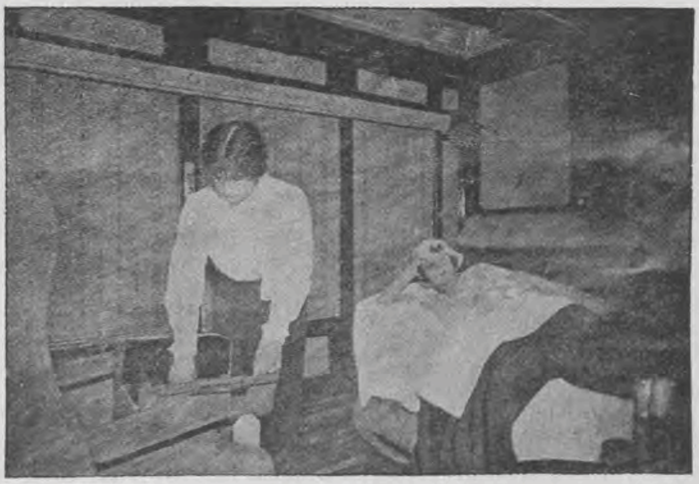


Akt II. P. Lubicz-Sarnowska w kostjumie sportowym.

WYJAZDY.

Lipiec... a więc epidemja... wyjazdów. Jest to gorączka, która w tej porze roku ogarnia mieszkańców wielkomiejskich przeważnie, ale daje się odczuwać nawet tym, którzy mieszkają wśród pól i lasów. Kto jeżdżąc dużo po szerokim świecie, obserwował ten bajeczny prąd unoszący ludzi w najrozmaitszych kierunkach, tę nieprzepartą chęć przenoszenia się z miejsca na miejsce, zrozumiał łatwo, że w ludzkiej naturze pozostał dotąd pierwotny instynkt plemion koczujących, że przebywanie ciągłe na stałem miejscu zamieszkania, jest tylko przymusem wynikłym z konieczności — a ruch, pragnienie i potrzeba przestrzeni, zmiany miejsca, warunków i otoczenia, są istotnem życiem człowieka... I oto—ta właśnie potrzeba i to pragnienie stało się zaczątkiem rozlicznych sposobów komunikacji na lądach i wodach, doskonaliło te środki, obmyślało coraz to inne, nowe, szybsze, wygodniejsze, aż nareszcie to pragnienie w połączeniu z wolą i rozumem, zdobyło dzisiejsze sposoby podróżowania, z kolejami, automobilami, wielkiemi okrętami na czele. Opanowano świat parą i szybkością, zredukowano do minimum prawa czasu i przestrzeni, osiągnięto rekord szybkości i bajecznych wygód w podróżach. „Byle prędzej i dalej“ wołają ludzie zwykli. „Byle wyżej“ dodają ludzie-ptaki, a dla nich spełniają się słowa poety: „Chmury z drogi... wichry z drogi!..“

Oczywiście, że w tych wyjazdach, w ich celach i sposobach, jak wogóle we wszystkiem, co ma łączność z rodzajem bytu cywilizowanego człowieka, środki materjalne, ilość pieniędzy jakiemi może i chce rozporządzać, występują na plan najpierwszy. Gdzieindziej jedzie i inaczej podróżuje żona skromnego pracownika, udająca się letnisko, lub do krajowych uzdrowisk, inaczej zamożna *pani*, spiesząca na morskie wybrzeża lub do wytwornych miejsc kuracyjnych. Skromne i szczupłe miejsce w przedziale kolejowym, w zwykłym osobowym pociągu, bo jest o wiele tańszy, chlubna oszczędność na każdym kroku, wyrzeczenie się nawet elementarnych wygód w podróży, byle tylko zajechać na miejsce, mające poratować nadwątlone zdrowie codzienną, uciążliwą, domową, tak niewdzięczną, a jednak niezbędną pracą, oto cel wyjazdów i sposob podróżowania bardzo—bardzo wielu kobiet.



W sypialnym wagonie. Przed udaniem się na spoczynek.

Wyjazdy takie, poprzedzone bywają tysiącem drobnych kłopotliwych zabiegów, zwyczajnie jak tam, gdzie z każdym groszem liczyć się trzeba. Obmyślenie i zorganizowanie choćby najskromniejszego tualetowego repertuaru, przedstawia trudność nie małą. Parę sukienek, parę bluzeczek, jeden lub dwa kapelusiki — jakiś płaszczyk... a buciki, a rękawiczki... to całe morze do wypicia, dla ściśle ograniczonego, szczuplutkiego, tualetowego budżetu... I to i owo, widziane, oglądane—upragnione — tak by się przydało, tak by było ładne, tak do twarzy... Twarda ręka niemożliwości kładzie tamę porywom, hamuje niewinne zachcianki — zacna i rozsądna kobieta, po chwili już nawet o tem nie myśli... jedzie po zdrowie, po siły do dalszej pracy, której celem domowe, ciche szczęście i spokój...

Zasadniczo inaczej, aż do najdrobniejszych szczegółów, przedstawiają się wyjazdy i podróże kobiet, którym w udziale przypadł los łaskawy, z łatwemi warunkami bytu normowanego dostatkiem materjalnym. *Panie* te wyjeżdzają przedewszystkiem dla mody, dla przyjętego w całem ich otoczeniu zwyczaju, bo któż w lipcu pozostaje w mieście?!.. Już od tygodnia przeszło, oczekują je znajomi w *Karlsbadzie* lub w *Wiesbadenie*, w *Spa* lub w *Vichy*, mieszkania już zamówione, wielki sezon w pełni, wyścigi, rauty, konkusy tualet i piękności, teatry, kabarety — więc pilno, trzeba spieszyć, a tu jeszcze nie wszystko gotowe. Wytworny magazyn obuwia, nie wykończył jeszcze 10 par obsta-



Obiad w wagonie restauracyjnym.

lowanych trzewiczków i pantofelków, a wiadomo przecież, że takich wytwornych i ślicznie do miniaturowych nóżek dopasowanych, jak warszawskie nie dostanie w całej Europie... Ulubiony wielki magazyn konfekcji, w którym *pani* ubiera się stale, gdzie już tak znają jej gusty, jej figurę, gdzie z jedną miarą wykończają najśliczniejsze kostjumy i sukie, prosi również o parę dni zwłoki, przez to nie można było dotąd zamówić sypialnego przedziału w expresie, a nie zawsze jest wolny, w dodatku zmieniła pannę służącą, nowa przychodzi dopiero za dni parę — jednem słowem *pani* masę ma kłopotów!..

Nareszcie po tygodniu nadchodzi pożądana chwila. Cudne fatałaszki, urocze gałganki, w postaci kostjumów spacerowych i sportowych, sukien wizytowych i wieczorowych, strojnych płaszczy i tysiąca dodatków i dodateczków, ułożonych misternie w piękne kufry, na których widnieją eleganckie monogramy, kapelusze umieszczono w specjalnych, lubianych pudłach, podręczną *torbę-neseser* zaopatrzono w potrzebne rozliczne dodatki, wytworny koszyk zawiera trochę owoców, ciastek i cukierków oraz flakon z winem, *pani* w oznaczonej minucie wsiada do automobilu, oddając opiece panny służącej ręczny bagaż (lokaj z kuframi ekspedjuje rzeczy na kolei), po chwili *pani* znajduje się na stacji, witana przez grono znajomych, darzących ją wiązankami cudnych róż — całe towarzystwo wychodzi na peron, konduktor sypialnego wagonu otwiera zamówiony przedział, panna służąca układa w nim elegancki bagaż. *Pani* żegna się z przyjaciółmi—express majestatycznie rusza z miejsca — *pani* — wyjechała!..

Pierwsza godzina podróży schodzi *pani* na wypoczynku po przebytych trudach, zdjęła piękne *manteau*, okalające jej elegancką postać oraz kapelusz miękki, leciuchny, z dużym woalem, przygładziła ładnie uczesane włosy i zaczyna się rozglądać po misternej klatce, w której ją zamknięto. O tej szarawej godzinie, oddaje się lekkiej zadumie... różne obrazy i wspomnienia przesuwają się w myślach, ogarnia ją jakby cień smutku a może tęsknoty... Jasne elektryczne promienie oświetlonego przedziału, przywracają *pani* zwykłą swobodę i wesołość, czuje budzący się apetyt, wkrótce zaspokojony w wagonie restauracyjnym, zawiązuje się jakaś znajomość, o którą w podróży tak łatwo, miła gawędka, czasem nawet leciuchny flircik, po jakimś czasie *pani* powraca do swej klateczki. Przygotowano już posłanie — *pani* przywdziewa szlafroczek i prześliczny nocny czepeczek i zasypia jak we własnym domu. Rano budzi się wypoczęta i świeża. Po przebraniu się, pije śniadanie, rozmawia z towarzyszami podróży, czas mija szybko—jeszcze godzin parę — zbieranie rozłożonych drobiazgów i *pani* staje u celu podróży. Ktoś uprzedzony o jej przybyciu, czeka na stacji — wita *panią* serdecznie — i zaczyna się kilkotygodniowa specjalna egzystencja kuracyjno-rozrywkowa, tak mało się różniąca od tej zimowej, jest to bowiem dla tych uprzywiljowanych istot, jedna serja zabaw, wycieczek, rautów i t. d. i t. d. tylko przyświeca im radosne słońce i odżywcze powietrze... Tak podróżują i tak spędzają czas latem *panie!..*



Przyjazd.

Marcèle.

DERBY PARYSKIE.

Na to by zdać sobie dokładną sprawę jakie miejsce zajmuje w życiu Paryża dzień wyścigów konnych, zwanych *le Grand Prix de la ville de Paris*, trzeba znać dokładnie i Paryż i jego stałych mieszkańców w tym właśnie objawie ich życia. Jest to przedewszystkiem punkt kulminacyjny sezonu wiosenno-letniego, z całem jego bajecznem ożywieniem, słabnącem następnie a przynajmniej zmieniającem nastrój i charakter. Do dnia rozegrania tej *wielkiej nagrody miasta Paryża*, żaden prawdziwy Paryżanin nie opuszcza stolicy, poza tem przybywają na tę uroczystość narodową w bardzo znacznej liczbie i cudzoziemcy i mieszkańcy miast prowincjalnych francuzkich — nie licząc właścicieli znacznych posiadłości ziemskich, olbrzymich winnic i t. d. i t. d. Wszystkie hotele, od najwspanialszych, do najskromniejszych wszystkie pokoje umeblowane i tak zwane *logis*, czyli zajazdy, na odległych przedmieściach zostają zamawiane i zajmowane. Już na parę dni przed *derby*, widzi się i wyczuwa, niezwykłe ożywienie, intensywne, podniecone, gorączkowe; milkną wszystkie sprawy, nikt o niczem innem nie mówi — nie myśli — wszystkich ogarnia *ideé fixe* i jak mówią francuzi *on sent le Grand Prix dans l'air*, czyli wyczuwa się paryzkie *derby* w powietrzu. Nie trzeba zapominać, że przyjętym zwyczajem na *Grand Prix* grają wszyscy i wielki pan z Faubourg *St. Germain* lub St. *Honoré*, i kupiec grosista z dzielnicy *du Sentier*, i wielki przemysłowiec

i cały świat finansów, i drobne kupiectwo — nawet kelnerzy, posłańcy, przekupnie... A cóż dopiero powiedzieć o owym świecie kobiecym, złożonym z artystek scenicznych, kabaretowych, cyrkowych i o owym pół światku słynnym na świat cały. Cała ta olbrzymia kolosalna masa istot ludzkich, staje do wyścigowego opelu, stawia na faworyta lub możliwego „fuksa" i czeka na uśmiech fortunny uosobionej w dniu tym w czworonożnem stworzeniu końskiem

Nareszcie nastaje upragniona niedziela. Od samego już rana rojno i gwarno na ulicach stolicy stolic, szczególniej tych avenues wiodących do sławnego *Longchamps* gdzie około godziny drugiej po południu dążą krocie, ba! miljony ludzi. Niezmierzona, nieprzejrzana fala ludzka, zalega olbrzymie obszary wyścigowych pomieszczeń, niezliczone trybuny, kioski, ławki, najdrobniejsze kąciki zapchane ludźmi rozlicznych klas społecznych podzielonych na grupy, wyczekują tej największej dla nich w roku sensacji.

Przyjazd obowiązkowy prezydenta rzeczypospolitej w galowym powozie zaprzężonym *à la Daumont* i zajęcie miejsca w specjalnej trybunie, jest hasłem rozpoczęcia tego nadzwyczajnego widowiska, nie mającego sobie równego w Europie. Tłumy na wzór fal morskich piętrzą się w ustawicznym ruchu wśród zgiełku i szumu. W czasie trwania każdego biegu zapanowywa głęboka uroczysta cisza, słychać tylko tentent kopyt (28 koni u startu) a przy finish'u rozlegają się krzyki i nawoływania dzikie, namiętne radosne lub rozpaczliwe. I znowu antrakt, przegląd tualet, ożywione rozmowy, rozliczne flirty... i tak na przemiany aż do końca i do odwrotu, który bodaj czy nie jest najciekawszym objawem tego niebywałego spektaklu!... *Le retour de Grand Prix*, to jest powrót z derby, służył już za temat do obrazów do zdjęć bioskopowych, do rozlicznych fotografji i do tysięcznych opisów na łamach całej paryskiej prasy. W ostatnich latach dziesięciu, zmienił on swój dawny charakter przez stopniową zamianę ekwipaży konnych na automobile prywatnę i najęte — dziś zaprzędów jest stosunkowo niewiele, utrzymały je dla tradycji niektóre



Na Derby.

wielkie arystokratyczne kluby paryzkie z *Jockey* klubem na częle, którego członkowie przyjeżdżają na tor wyścigowy tradycyjnym brekiem zaprzężonym w lejce, czwórką wspaniałych rasowych karosierów. Długiemi nieprzejrzanemi szeregami, ciągną automobile, gdzieniegdzie przeplatane eleganckim, o pańskim wyglądzie zaprzęgiem, płyną piesze tłumy do świetlanego miasta, syte wrażeń, dumne jak w obecnym roku, ze zwycięstwa stajni francuskiej.

Dla mody, dzień derby jest chwilą największego sezonowego popisu, tryumfem wszystkich jej pomysłów i rozkazów, całemi miesiącami przygotowywał Paryż najwspanialsze kreacje, trzymał je w ścisłej tajemnicy, ujawnionej dopiero w dniu tym w postaciach przedstawicielek szyku, to jest w artystkach scenicznych stolicy świata. I w sezonie bieżącym na Derby, otrzymały one palmę pierwszeństwa. Królowa mody p. *Monna Delza* — panie *Agnes Sorrel*, *Arlette Dorgère*, *Maxchance* i inne błyszczały elegancją, i przepychem, nie dającym się wysłowić... *Monna Delza* przywdziała w dniu tym szatę z koronek Brukselskich *duchesse* dzierganych złotem i prawdziwemi turkusami, koronki upięte były *à la grecque* na *turkosowym Crêpe de Chine*, obwijały całą klasycznie piękną postać artystki, odsłaniając stopy i kostki, pończochy gazowe niebieskie, haftowane złotem, i olbrzymia etola z gronostaji na pięknej głowie i kapeluszu, znajdował się *paradyz* oceniony przez znawców na 1000 franków a wogóle cała tualeta przedstawiała ładną sumkę 12,000 fr. tak ją ocenił twórca jej—arcymistrz nożyczek, pan *Poiret*... oczywiście bez klejnotów, dekorujących obficie uszy, szyję i ręce—Królowej mody..,

Wogóle, tegoroczne derby paryzkie, jaśniało wspaniałemi strojami, noszonemi przez panie jadące na wyścigi specjalnie w celu tualetowego popisu—inne, owe prawdziwe *sportslady*, trzymały się ściśle klasycznych kostjumów krawieckich—co wogóle jest najodpowiedniejsze. Moda urządziła istne igrzyska, puściła w obieg wszystkie ekscentryczności. Wielka nagroda miasta Paryża była zarazem apoteozą i śpiewem łabędzim tegorocznej mody letniej.— Obecnie śpiew zamilkł, aż do jesieni...

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

23) TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— To zdrada! — krzyknął książę, nie panując już dłużej nad sobą.

Schwarcenberg zerwał się z fotela. Stanął wyprostowany jak struna, podniósł, wysoko głowę i trzasnął się po rękojeści szpady.

— Dobrze! policzymy się.

Zwrócił się po żołniersku lewo w tył i zamaszystym krokiem wyszedł.

Zamknęły się za nim drzwi z hukiem. Książę pozostał sam... z zadumą. Miał w duszy niesmak, ból, rozpacz.

Niebawem przyszedł z wizytą — Eustachy Sanguszko.

— Mój Eustachy, — zaczął książę, po przywitaniu — będę cię zapewne prosił na sekundanta.

— No, cóż znowu?

— Przed chwilą powiedziałem słowa prawdy Schwarzenbergowi. Myślę, że jutro rano przyśle mi z obozu wyzwanie.

Wyzwanie jednak nie przychodziło.

Schwarzenberg zamiast myśleć o pojedynku podpisywał z Ansettau konwencję i niebawem zaraz przeprawił się pod Zegrzem za Wisłą. W kilka zaś dni po tem przyszło za pośrednictwem Bigniona oficjalne zawiadomienie rządu księstwa o odstąpieniu wojska austrjackiego od obrony Warszawy.

IX.

Było już po dziewiątej, kiedy pana Marta, wróciła z wizyty od hrabiny Potockiej, niestety, srodze zawiedziona. Nie ujrzała dnia tego swego ubóstwianego bohatera. Tak bardzo pragnęła tego spotkania, tak bardzo — ufna zapewnieniom ukochanej synowicy księcia — była go pewna, że zawód ten odczuła, jak cios najboleśniejszy.

Ha, było w tem może jakieś niejasne złowieszcze przeczucie, że go już losy nigdy więcej ujrzeć nie pozwolą, że nigdy w życiu nie będzie mogła spojrzeć w te piękne, tajemnie kochane oczy, że nigdy w życiu nie dotknie dzielnej dłoni najpierwszego rycerza Polski.

Boże, tak tego pragnęła straszliwie, tak gorąco tęskniła do tej chwili szczęśliwej!

Stało się inaczej. Książę zajęty sprawami publicznemi na zaproszenie hrabiny Anetty stawić się nie mógł i wszystkie zebrane na herbacie panie były z tego powodu jakby zważone, jakby nieswoje.

W salonach pałacu na Krakowskiem Przedmieściu zapanował nastrój przygnębienia. Daremnie uprzejma gospodyni z właściwą sobie żywością i niezrównaną umiejętnością towarzyską starała się go rozproszyć. Chłód wiał zewsząd niepokonany.

Zaczęto się wcześnie rozjeżdżać.

Zgoła inna atmosfera wypełniała skromny salonik w dworku na Grzybowie.

Królowała tam miłość gorąca i zda się ciepłem swem przesycała całe otoczenie.

Siedzieli przy klawikordzie panna Krystyna z narzeczonym i jakby grać mieli na cztery ręce uwerturę z „Fletu zaczarowanego“, ale co chwila melodja urywała się co pół taktu, porucznik Grabowski, chwytał nagle przebiegającą po klawiszach, rękę narzeczonej i przyciskał ją do ust gwałtownie.

— Ach, jakiż jestem szczęśliwy!

— Ależ cicho!

— Boże, jak ja ci, najdroższa mam dziękować?

— Nic nie mówić... grać uważnie... nie zrywać taktu, strofowała z lekkim akcentem żartobliwości panna Krystyna. Niech pan porucznik zachowuje się przystojnie.

I wskazywała wzrokiem na siedzące opodal dwie starsze panie.

Rzeczywiście pani sędzina, i pani cześnikowa dla przyzwoitości dotrzymywały młodym towarzystwa. Siedziały one w rogu salonu na kanapie w cieniu, niejako oddzielone od klawikordu słupem łuny czerwonej, bijącej, od płonącego na kominku ogniska. Poczciwe kobieciny, ażeby zakochanym nie przeszkadzać zbytnio swoją obecnością udawały, że prowadzą szeptem, jakąś bardzo ożywioną rozmowę gospodarską. Przenikliwy, monotonny szept dwóch starszych niewiast przerzynał ostro ciszę w chwilach, kiedy zamilkała muzyka i zagłuszał dyskretne szepty miłosne. Nie mógł jednak zgłuszyć szelestu pocałunków, jakie oficer z młodzieńczą namiętnością, składał na rękach ukochanej.

Panna Krystyna była zgorszona.

— Jak panu nie wstyd, — szepnęła jak mogła najciszej.

W odpowiedzi porwał jej obie dłonie i wycisnął na nich pocałunek tak niepohamowany, taki dźwięczny i rozgłośny, że obie panie starsze zaprzestały nagle rozmawiać o sprawach gospodarskich i zażenowane spuściły oczy, jak na komendę.

Sytuacja dozorczyń przyzwoitości stawała się dość drażliwa.

W tej chwili jednak zadźwięczały janczarki przy chomątach. Jakieś sanki zatrzymały się przed dworkiem.

— Marcia — zawołała uradowana pani cześnikowa.

Niebawem stanęła istotnie we drzwiach panna Marta.

Wszyscy powstali na powitanie.

Porucznik Grabowski podbiegł pierwszy i, okrywając rękę przybyłej pocałunkami, wołał uradowany.

— Panno Marto, panno Marto, jaki ja jestem szczęśliwy.

Ale radość jego dziwnie odbiła się od smutnej, boleśnie zasępionej twarzy panny Marty.

Była blada i jakby zgaszona. Siląc się na uśmiech, przez ścieśnione gardło spytała:

— Cóż tak szczęśliwego spotkało cię, panie poruczniku?

— Ach, pani, pani, wykrzykiwał bezładnie... Jestem dziś najszczęśliwszy z ludzi! Panna Krysta... Nie, doprawdy... to uosobienie dobroci... to... to.

— Musimy ci oświadczyć, Marciu, — zaczęła panna Krystyna — że dziś właśnie postanowiliśmy z panem Janem.

— Ślub nasz w początkach marca, — przerwał porucznik. — A jakże, już w marcu... Nieoceniona, nieoceniona!...

Rzucił się znowu do całowania rąk narzeczonej.

— Tak, ciągnęła ona, postanowiliśmy nie czekać na wyjaśnienie się sytuacji politycznej... Zresztą, możecie być pewni, jeżeli wypadnie... jeżeli ojczyzna... jeżeli obowiązek... no jeżeli trzeba będzie, ażeby porucznik Grabowski stanął znowu pod chorągwią, Krystyna Rytwianówna nie zatrzyma w domu męża, jak nie zatrzymywała narzeczonego...

(d. c. n.)

MARJAN ORLICZ.

4)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Dajcie mi słowo, że tak myślicie.

Orliński wyciągnął do niego szczerze rękę.

— Daję wam słowo. Kto tego nie zna? Na każdego z nas przychodzą takie chwile zniechęcenia, tylko, że trzeba im się nie dać.

— Wiecie, myślę pójść jutro do Luwru dobrze się jeszcze przyjrzeć Boticellemu. Pragnąłbym stworzyć coś w jego rodzaju, przeszczepionego na grunt ojczysty, ze słowiańskim naturalnie sentymentem.

— Co wy macie przeszczepiać?.. Szczepcie, stać was na to, tylko trochę więcej wiary we własne siły. Dla mnie zresztą Boticelli nie należy jeszcze do tych, na których wzorować się warto.

— A ja, widzicie, dałbym kilka lat życia, żebym potrafił iść jego śladami. Czytałem nie pamiętam czyje, Ullmana zdaje mi się, studjum o Boticelle'go „Afrodyte" zrodzonej z piany morskiej: „to misterjum, przed którem widz czuje się świadkiem jednej z tych świętych tajemnic, jakie natura

w księdze swoich cudów chowa". I zgadzam się z tem najzupełniej.

Orliński pokręcił głową.

— Znajduję ogromną przesadę w tej apoteozie. Zgodzę się raczej z tymi, którzy utrzymują, iż delikatny, chorobliwy wdzięk jego postaci, tak silne robiący wrażenie, pochodzi stąd, że za model mu służyła ofiara gruźlicy, Simonetta Catani, porwana w 23-im roku życia przez tę okropną chorobę i, że Boticelli mimowiednie stworzył typ pięknej suchotnicy. Wiecie zapewne, że jego naśladowcy tak się nim przejęli, iż odruchowo zdrowym swym postaciom piętno suchot nadawali. U Burne Jones'a np. doszło do tego, że nawet zdrowi w przygotowawczych studjach ludzie, stają się mniej — więcej suchotniczymi na obrazach.

— Żeby sądzić malarza, trzeba się wczuć nie tylko w jego pracę, nie tylko w środowisko, z którego wyszedł, w jego życie, ale i w sentyment, który nim kierował. Jeśli nawet Boticelli w swej „Afrodyte" dał typ suchotnicy, to przyznajcie, że opuszczone ramiona i wklęsła nieco pierś, nie odejmują jej uroku, ale go jeszcze podnoszą!

— Nie myślę temu przeczyć, jednak za wzór bym go sobie nie obrał nigdy. Wreszcie, słuchajcie mnie Żarski, szczerze wam radzę, nie trudźcie sobie głowy, tylko pracujcie dalej wytrwale. Idzie doskonale. Znam wasze obsesje. Pamiętam, jakeście byli czas jakiś pod absolutnym wpływem Gauguin'a Cezanne'a, pod wpływem sztuki egipskiej. Przechodzicie przez różne etapy, a wierzcie mi, szczerze wam mówię, należy przedewszystkiem szukać siebie, znaleść siebie, umieć być sobą. Na co wam kanony? Nie bądźcie ani tym, ani owym — bądźcie poprostu Żarskim.

Po wyjściu Orlińskiego, Żarski ze zdwojoną energją wziął się do obrazu.

Jak to jednak podnosi ducha takie szczere, dobre słowo, pomyślał. Inaczej idzie praca, inaczej się na nią patrzy.

III.

Żarski, wchodząc z bulwaru de Clichy w wązką, stromą uliczkę Germain-Pilon, miał ochotę zawrócić z drogi. Rozmyślił się jednak i wszedł odważnie w ponury oślizgły dziedzińczyk, przeszedł taki sam drugi i pomacku prawie dostał się na ciemne, wiecznie zabłocone schody.

Już od pierwszego stopnia kuchenne swędy słoniny, smażonego śledzia, kłóciły się o lepsze z fryturą i czosnkiem, mdląco podchodziły do gardła.

Trzymając się poręczy, wdrapał się na czwarte piętro i pociągnął za taśmę od dzwonka.

Otworzył sam Cressauger w swoim zwykłym welwetowym garniturze i pilśniowym kapeluszu, który mu nigdy nie schodził z głowy.

Usprawiedliwiając żonę, że nie zupełnie zdrowa, przeprowadził go przez jadalny pokój, cały tak zawieszony ciekawemi pracami, że już chyba gwoździa nie było gdzie wbić, do sypialni-gabinetu.

Na szerokiem łóżku, zasłanem ze swawolnem niedbalstwem, pani Louisa pod pierzyną, narzuconą tiulową kapą, tonęła w powodzi koronek liljowego szlafroczka. Bardzo jeszcze piękne rudawo-brązowe włosy wiły się kosmykami dokoła czoła, twarzy i ramion niby węże Meduzy. Nieodłączny papieros buchał dymem pod sam nos, zakopcony mocniej niż kiedykolwiek. Już to szczególny miała sposób palenia: dziesięć papierosów nie nadymiło tyle, co jej jeden. W nogach łóżka siedziały dwie postacie kobiece, na krzesłach obok, na fotelikach jeszcze parę osób. Twarzy jednak na razie przy gęstych obłokach dymu i kopciu z mocno filującej lampy rozpoznać było trudno.

Żarski gorąco powitany, został zaraz przedstawiony ogromnej i ogromnie głośnej ekssekretarce dziennika „La Fronde" pani Thierry, obecnie sekretarce i pomocnicy pani Cressauger w dziełach, które nigdy światła dziennego ujrzeć nie miały. Z kolei miał szczęście poznać pannę Irmę Veron, niegdyś gwiazdę Vaudevil'u dziś recytatorkę „vieilles chansons de France", dyrektora Desiré, dyrygującego nie wiadomo czem i nie wiadomo gdzie i paru jeszcze innych.

Na prośbę pani domu, wspartej łokciem na poduszce niby na rzymskiem łożu, panna Irma mocno już zdartym głosem uraczyła obecnych dwiema „chansons".

A propos starych pieśni, zgadało się o Yvette Guilbert. Dyrektor jął opowiadać, jak ongi „wujaszek" Sarcey zbabrał ją w „Temsie" nielitościwie, jak ona zostawszy po owej degrengoladzie literalnie na lodzie, miała szczęśliwą myśl wskrzeszenia starych pieśni francuskich i jak za ich pomocą wróciła do rozgłosu i pieniędzy.

Znał on ją jeszcze jako „vendeuse“ magazynu „Au Primtemps“. Nie było w niej nigdy—utrzymywał krztyny talentu, wszystko tylko robione „pour epater les bourgeois“, prawdziwa „matuvu“. *)

Wysoki, cienki filozof, który, jak szepnięto Żarskiemu miał zamiar obalić teorje Kanta i Hegla, siedział, nie otwierając ust.

Inni, w cieniu, robili wrażenie statystów na scenie.

Skąd oni wyrwali to wszystko? Kiedyś widziało się u nich świat zupełnie inny. Świat, będący wyłączną własnością Paryża, poza Paryżem nie spotykany nigdzie, a mający wspólność ze wszystkimi światami: artystów, literatów, muzyków-dyletantów jak i wielkie talenty, dziennikarzy, bohemię, młodych deputowanych przyszłej sławy, minione wielkości.

„Świat dziwaczny, a zarazem taki ciekawy“, rozmyślał Żarski, a coraz się odruchowo oglądał poza siebie.

Z pod wysokiego „trumeau“ wydobywał się przykry, gryzący odór, a jednocześnie odzywało się jakieś niepokojące mruczenie.

Panna Veron spostrzegła niepokój Żarskiego...

— Pan, jak widzę, nie znosi kota, odezwała się uprzejmie „Viens, Mimi, viens poupouce“. Ogromne, spasłe jak wieprzak, kocisko, skoczyło na łóżko i poczęło się przewalać po tiulowej kapie, zaczepiając coraz pazurami za oczka i drąc delikatną tkaninę niemiłosiernie.

Żarski czuł idjosynkrazję do kotów, miał zresztą dość już i tego dziwacznego przyjęcia i tego dziwnego świata kabotynów.

Wstał i począł się żegnać.

Ale pani Cressauger zaprotestowała żywo.

— Nie puszczę, pan musi z nami zjeść obiad.

Tymczasem przybyło jeszcze dwoje gości: młode małżeństwo: malarz z żoną.

Zaledwie jednak zdążono dopełnić formalności prezentacji lampa naraz poczęła charakterystycznie pykać i tak kopcić, że pan Cressauger zmuszony był wśród tysiącznych usprawiedliwień wynieść ją tak, jak zawstydzony ojciec wynosi niesforne dziecko.

*) Przezwisko dawane kabotynom, przechwalającym się swemi rolami: „m'as tu vu?“

Zapanowały zupełne ciemności, wśród których Cressaugerowa podniosła się ze swego łoża.

Zapalono drugą lampę prawie również kopcącą i zaproszono do stołu.

(d. c. n.)

BOLESŁAW BOURDON.

WOJNA.

NOWELA.

Tego dnia nie mógł Sianożęcki nawet doczekać się chwili, w której zegar wybije szóstą, tak bardzo pragnął wyjść z biura. Był zdenerwowany. Od miesiąca wczytywał się z drżeniem w gazety, pełne alarmów wojennych.

Miałożby to być prawdą, że krwawe widmo ucieleśni się?...

Sianożeckiemu zrobiło się tak nieprzyjemnie na tę myśl, że odczuł poprostu fizyczny ból w piersiach. Powołanie go jako rezerwisty, do wojska, rozstanie z żoną i dzieckiem, trudy i niebezpieczeństwa wojny, możliwość strasznego kalectwa lub śmierci, wszystko to wirowało mu w głowie chaotycznie, wstawało w formie zgmatwanej, porwanej w strzępy, w ułamki i zaczynki myśli.

Rozglądnął się podejrzliwie wokoło, a widząc kolegów zatopionych w pracy, złożył ostrożnie akta, wstał z krzesła bez szelestu i z miną sztucznie obojętną na każdy wypadek, szedł cicho ku drzwiom, by nie obudzić niczyjej czujności i wymknąć się niespostrzeżenie. Mógł w ostateczności wyjść jawnie, opowiedziawszy się szefowi; ale szef od kilku dni był jakiś chmurny i opryskliwy, przeto Sianożęckiemu nie w smak było nasuwać mu się na oczy. W przedpokoju ubrał się, przywdziawszy wobec patrzącego nań z pod oka woźnego maskę sztywnego chłodu i wyniosłości i ruszył na ulicę. Dopiero gdy oddalił się spory kawał od biura, przystanął przed pierwszą lepszą wystawą

sklepową, by módz swobodnie zastanowić się, poco właściwie wyszedł i dokąd iść zamierza.

Nie wiedział.

Poprostu nie mógł usiedzieć na miejscu i dlatego uciekł z biura. Chciał jakość dojść do ładu ze swojem wzburzonem wnętrzem, pragnął uciszyć niepokój, który raz nań naszedłszy, trapił go niepomiernie, chciał się przygotować na wszelką ewentualność i nie dać się zaskoczyć wypadkom.

Jakiś rachunek sumienia musi przecie zrobić! Musi nagiąć się choćby wytężeniem całej siły woli do pojęcia konieczności nieuchronnej, nieodpartej, od której uratować go mogło chyba samobójstwo albo ucieczka zagranicę.

Jest silny jak tur, zdrów jak rydz, więc wszelka myśl o udawaniu choroby przed komisją wojskową byłaby dziecięcą naiwnością. Samobójstwo?... Eh, nie jest jeszcze tak głupi, by bez krańcowego powodu palnąć sobie w łeb! A ucieczka?—Marzenie tylko, równie naiwne, jak próba udawańiania zdolnego do służby! Skąd bowiem weźmie potrzebne pieniądze, co uczyni z żoną i dzieckiem, gdzie zagranicą znajdzie odpowiednie zajęcie bez znajomości języków, bez możności przeczekania nieodzownych początków? Przytem powrót do kraju raz na zawsze zabroniony, skazanie się na tułacze życie, bez planu i celu... wszystko to nie ma najmniejszego sensu. Więc co zrobić, jak się pogodzić z tą przeklętą myślą, że jednak może już niedługo *trzeba* będzie pójść, *tam?*

Sianożęcki odwrócił głowę od wystawy, na którą nie patrzył, wlepił błędne oczy w najbliższego przechodnia i odganiając wszelkie metodyczne namysły, zastanawiał się przedewszystkiem nad tem, dokąd w tej chwili pójdzie, czuł bowiem, że na ulicy w jednem miejscu nie wystoi a idąc nie będzie mógł swobodnie podumać ze względu na ożywiony ruch uliczny, który go drażnił i rozpraszał uwagę.

Mógł pójść do domu, lecz myśl o spotkaniu się w takim nastroju z żoną zniechęcała go. Postanowił pójść do kawiarni.

Właśnie gdy dochodził do zbiegu kilku ulic, na kilkanaście kroków przed lokalem, do którego miał zamiar wejść, zobaczył tłum ludzi, kotłujący dokoła kilku chłopaków, roznoszących wieczorne dzienniki. Tknięty złem przeczuciem, pośpiesznie skierował kroki w tę stronę i w tejże chwili doleciały mu do uszu wykrzyki kolporterów:

— Wojna wypowiedziana!! Nadzwyczajny dodatek „Herolda!“

Zbladł bardzo i zdawało mu się, że ktoś mu zlał plecy zimną wodą. Gorączkowo jednak przecisnął się przez tłum, wydarł chłopcu zadrukowany świstek, rzucając wzamian drobną monetę i wysuwając się z trudem z coraz napływającej fali ludzkiej, wbiegł z kurczowo zaciśniętą w dłoni gazetą do kawiarni.

Tu dopiero oprzytomniał, złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni zarzutki i tłumiąc wszystkie miotające nim uczucia, upatrywał odosobnionego, stosownego do dumań stolika. Na szczęście dojrzał taki stolik i zasiadł przy nim z cieniem uczucia ulgi.

— Dla pana dobrodzieja kawka czy herbata?—zapytał z głupkowatą uprzejmością nadbiegły kelner.

— Kawa!

— W tej chwili służę; pan dobrodziej już wie? *Mamy wojnę!*—mówił kelner z nieznośną safysfakcją zadowolonej żądzy sensacji.

Sianożęcki spojrzał na niego tak dziwnym wzrokiem, że kelner otworzył głucho usta, zamknął je i oddalił się bez słowa. Dopiero w pewnem oddaleniu od gościa wezbrała w nim obrażona duma i mruknął pod nosem: — Bydlę...

Umyślnie wybrał jakiś nadpęknięty spodek, na talerzyku położył kawałek cukru mniej, niż zwykle dodawano do porcji i postawił kawę przed Sianożęckim tak niedbale, iż część płynu wylała się na tacę.

Sianożęcki jednak mało zwracał na to uwagi, pragnąc w duchu, by kelner jak najprędzej wyniósł się od niego do wszystkich djabłów. Przez chwilę mignęło mu w myśli, że jeżeli kelner teraz odezwie się do niego jakiemkolwiek słowem, rzuci mu w twarz tacę z całem naczyniem. Dopiero gdy zobaczył, że obrażony służący pogardliwie obrócił się na obcasie i odszedłszy na drugi koniec sali począł rozmawiać coś z markierem od bilardu, uspokoił się i wyjąwszy kupioną gazetę, począł pośpiesznie czytać telegraficzne wiadomości.

Więc rzecz, której możliwość dręczyła go od miesięca, stała się faktem dokonanym. Teraz już nic go nie uchroni od żelaznego musu...

Sianożęcki przestał na chwilę myśleć; zmartwiał jakoś i nie był w stanie niczem zapełnić nagłej pustki wewnętrznej, czy też wyswobodzić się z pod przytłaczającego go bezimiennego ciężaru. Mięszał machinalnie łyżeczką kawę i patrzył ślepo w marmurową powierzchnię stolika.

Nagle, jak oślepiająca błyskawica, zamigotała mu w duszy bezprzyczynowo przeraźliwie jaskrawa świadomość, że to naprawdę straszliwa pewność. *Nic* go już nie uchroni od wszystkich konsekwencji tej myśli, stało się, przepadło, szkoda nurzać się w bezświadomym oporze całego jestestwa przeciw temu, co jest spiżowo twardym faktem, rzeczywistością mocną jak śmierć!

Bezwolnie posunął się wewnętrznie o jeden olbrzymi krok naprzód, nie wiedział jednak nawet o tem, że stało się to kosztem wielkiego wysiłku, wstrząśnienia, bo czoło zrosiły delikatne kropelki potu i drżał zlekka. Gdyby posiadał w tej chwili zdolność takiego porównania, zrozumiałby, że stało się z nim to samo, co się dziać zwykło w którymś momencie ze skazańcem, wyprowadzanym na szafot.

Odrazu potem napłynęły mu do głowy całe szeregi jasnych, zwięzłych myśli, w wyraziste kształty ujętych.

Iść musi! Może już dziś, za powrotem do domu, zastanie kartę, powołującą go do służby. Jakiemi słowami będzie się żegnał z żoną? Jakie rady i wskazówki ma jej zostawić na dalszą drogę życia? Jak się pogodzi z bezpowrotną utratą całej spokojnej przeszłości i jak złamie dławiący go żal?

Gdyby miał pieniądze, znaczniejszą sumę pieniędzy, sprawa z żoną poszłaby lżej; nie czułby palących wyrzutów sumienia, że pozostawia ją z dzieckiem na los stokroć gorszy, aniżeli ten, który jemu przypadł w udziale. Nie chodzi tu o naturalne uczucia przywiązania i miłości tkliwej dwojga zżytych sobą ludzi, które w tej chwili wyciskają mu z pod powiek dwie wstydliwe a ogromnie bolesne łzy; idzie raczej o tę szarą, powszednią, ciężką troskę o byt i wszystkie związane z tem drobiazgi, które w takich chwilach urastają do rozmiarów katastrofy i łamią jednostkę człowieczą łatwiej, niż kiedykolwiek. O, dlaczegóż nie oszczędzał, gdy była po temu sposobność, czemu nie poświęcił więcej energji i wyrzeczenia się osobistych przyjemnostek, by tylko zabezpieczyć byt i życie, bezwzględnych trosk, swoim najbliższym, których przecie kochał, wobec których czuł pełnię męskich obowiązków!

Ładna miłość!...

Dotychczasowe utrzymanie? Ależ lada służącej daje się to samo! A prywatne biuro, w którem pracuje, nie zapewni obecnie jego żonie ani szeląga!...

Sianożęcki odczuwał przygniatający wstyd i beznadziejną tęsknotę do możności odmienienia warunków. Uczucie to stawało się tak nieznośne, że instynktownie począł się bronić przed niem, podszeptami egoizmu.

(dok. nast.

CMENTARZ.

(Czwarte preludjum Szopena. — largo e-minor).

Odwieczny cmentarz opuszczony
gałęźmi szumi bujnych drzew.
Jak dzwony
pogrzebne, jakiś brzmi w nich śpiew.

To wiatr przycicha i szeleści
jarzębin purpurowa kiść,
i pieści
zapadłe groby, zżółkły liść...

To płynie poszept głuchej skargi —
stargane strzępy martwych snów,
a wargi
pomarłych szepcą echa słów.

Zabrakło mowy w czas konania
i oto teraz głucho brzmią
szemrania,
nabrzmiałe bólem, łzami, krwią...

M. W. Rudnicki.

5) H. DE BALZAC.

ŻEGNAJ.

(Z francuskiego).

— Panie, — rzekł wuj, — oto od dwóch lat codzień kraje mi się serce. Wkrótce i pan będziesz w tym położeniu. A choć zbraknie ci łez, jak mnie, jednak równie żywo odczuwać będziesz straszliwy ból.

— Pan opiekował się nią, leczył ją! — rzekł pułkownik, a oczy jego wyrażały wdzięczność i zazdrość jednocześnie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, i zrozumieli się wzajem; raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie i stali tak nieruchomi, zachwyceni wyrazem spokoju, rozlanym na twarzy śpiącej. Od czasu do czasu Stefanja wydawała westchnienie, i westchnienia te mające wszystkie pozory wzruszenia, radośnie wstrząsały sercem pułkownika.

— Niestety, — rzekł cicho Fajat, — niech się pan nie łudzi. Tylko we śnie wywiera wrażenie istoty normalnej.

Ci, którzy całemi godzinami godzinami przypatrywali się czule uśpionej kochance, i czekali, aż oczy jej po przebudzeniu spotkawszy jego wzrok, uśmiechną się doń, zrozumieją słodkie i straszliwe uczucie, przepełniające serce pułkownika. Dla niego sen ów był złudzeniem; zbudzenie — śmiercią, przytem najokropniejszą śmiercią. Nagle z za drzewa wychyliło się młode koźlątko; w trzech susach przyskoczyło do śpiącej i poczęło obwąchiwać ją. Stefanja zbudziła się, lekko stanęła na nogach, ku wielkiemu zadowoleniu kapryśnego zwierzątka. Lecz, gdy spostrzegła Filipa, uciekła i pobiegła wraz z swym czworonogim przyjacielem do żywopłotu; potem wydała ten dziwny okrzyk, który brzmiał jak skarga spłoszonego ptaka, ten okrzyk, który pułkownik usłyszał, gdy przed paru dniami hrabina ukazała się jemu i margrabiemu d'Albon przy kracie. Tymczasem hrabina wdrapała się na kasztan, zaszyła się między jego rozłożyste konary i poczęła przyglądać się *obcemu* z uwagą najciekawszego słowika w lesie.

— Żegnaj! żegnaj! żegnaj! — rzekła, ale dusza nie nadała słowu temu żadnego wyrazu, żadnej intonacji.

Była to obojętność ptaka, śpiewającego swą piosnkę.

— Nie poznaje mnie! — krzyknął pułkownik w rozpaczy... Stefanjo, to ja, Filip, twój Filip!...

I nieszczęsny pułkownik zbliżył się do drzewa; lecz gdy był o trzy kroki od niego, Stefanja spojrzała nań, jak gdyby z wyzwaniem, choć w oczach jej czaił się wyraz przestrachu; potym jednym rzutem przeskoczyła z kasztanu na akację, ztamtąd na sosnę, na której poczęła kołysać się z niebywałą lekkością.

— Nie goń pan jej, — rzekł Faujat. — W ten sposób może pan wzbudzić w niej antypatję, której potem nie zdoła pan przezwyciężyć. Pomogę panu zbliżyć się do niej i obłaskawić ją. Siądź pan na tej ławce. Jeśli nie będzie pan zwracał na nią uwagi, biedna Stefanja wkrótce nieznacznie zbliży się do niego, aby mu się przyjrzeć.

— *Ona* nie poznaje mnie!.. Ucieka przedemną!.. — powtórzył pułkownik, siadając na ławce i opierając o drzewo, którego liście rzucały cień na ławkę.

Głowa opadła mu na piersi, któremi wstrząsało łkanie. Doktór milczał. Wkrótce hrabina pocichutku zsunęła się z wierzchołka sosny, podskakując, jak błędny ognik, kołysząc się chwilami w takt wiatru. Na każdej gałęzi zatrzymywała się, bacznie śledząc nieznajomego lecz, widząc, że ten nie rusza się, ostatecznie zdecydowała się i skoczyła na trawnik, stanęła i poczęła się zbliżać ku niemu przez łączkę drobnymi krokami. Kiedy stanęła koło drzewa, o kilka stóp od ławki, Fanjat rzekł do pułkownika:

— Wyjmij pan zręcznie z mojej kieszeni kilka kawałków cukru i pokaż jej, to się zbliży Chętnie wyrzekam się dla pana przyjemności uraczenia jej łakociami. Za pomocą cukru, za którym przepada, powoli przyzwyczai ją pan do siebie.

— Kiedy była kobietą — rzekł ze smutkiem Filip — nie lubiła zupełnie słodkich potraw.

Gdy pułkownik pokazał Stefanji kawałek cukru, który trzymał między dużym a wskazującym palcem prawej ręki, to wydała znów swój dziki okrzyk i gwałtownie skoczyła ku Filipowi; potem zatrzymała się, powstrzymana instynktownym strachem, który w niej budził; kolejno to odwracała głowę, to spoglądała łapczywie na cukier, jak tresowany piesek, któremu pan nie pozwala dotknąć jedzenia, dopóki nie krzyknie mu: hop! Wreszcie zwierzęce łakomstwo wzięło górę nad strachem. Stefanja rzuciła się na Filipa, nieśmiało wyciągnęła doń swą śliczną, opaloną rączkę, aby chwycić zdobycz, dotknęła palców dawnego kochanka, złapała cukier i znikła w gąszczu drzew. Okropna ta scena przygnębiła do reszty pułkownika. Tonąc we łzach, uciekł do salonu.

— Czyż miłość posiada mniej męstwa, niż przyjaźń? — starał się uspokoić go doktór. — Nie straciłem jeszcze nadziei, baronie, bo pamiętam, że moja biedna siostrzenica była, przedtem w stokroć gorszym stanie, niż ten, w którym zastałeś ją pan dziś.

— Czyż to możliwe? — krzyknął Filip.

— Chodziła nago, — odparł lekarz.

Pułkownik wstrząsnął się ze zgrozy i pobladł, doktór w bladości tej znalazł podejrzany jakiś objaw, więc wziął go za puls i znalazł u niego silne pobudzenie. Nakłonił go więc, aby położył się do łóżka i dał mu na sen niewielką dozę opjum.

Przeszło ośm dni, w ciągu których baron de Sucy przeżył straszliwą chwilę, tak że wkrótce oczom jego zbrakło łez. Jego dusza złamana, zgnębiona nie mogła pogodzić się z okrutną rzeczywistością; lecz starał się znaleźć w nieszczęściu swem jakąś pociechę. Bohaterstwo

jego nie znało granic. Znalazł w sobie dość tragicznego męztwa, by zdobyć się na powolne *oswajanie* hrabiny za pomocą łakoci. A tyle pracy w to wkładał, tak zręcznie działał, że wreszcie udało mu się *obłaskawić* ją. Co rano udawał się pułkownik do parku, a jeśli, po długich poszukiwaniach hrabiny, nie mógł znaleźć drzewa, na którem kołysała się, lub kąta w którym zaszyła się i bawiła z ptaszkami, wówczas gwizdał na znaną ongi nutę „Podróży do Syrji“, z którą to piosnką łączyło się w nim wspomnienie pewnej sceny miłosnej między niemi. Stefanja natychmiast przybiegła, lekka jak ptaszek. Tak dalece przyzwyczaiła się już do widoku pułkownika, że nie bała się go więcej; a wkrótce nauczył ją nawet siadać mu na kolanach i obejmować za szyję swem suchem i giętkiem ramieniem. W tej ulubionej przez kochanków pozycji, pułkownik karmił łakomą hrabinę słodyczami. Gdy wyczerpał cały zapas, hrabina częstokroć obszukiwała jego kieszenie zwinnym ruchem figlarnej małpy. Kiedy zaś upewniła się, że nic tam już nie znajdzie, przyglądała się Filipowi wzrokiem bezmyślnym, nie wyrażającym żadnego uczucia, żadnej chęci. Czasem bawiła się z nim; próbowała zdjąć mu z nóg buty, darła mu rękawiczki, wkładała jego kapelusz. Pozwalała mu głaskać się po włosach i bez przyjemności, lecz bez oporu, poddawała się jego namiętnym pocałunkom. Kiedy płakał — przyglądała mu się w milczeniu. W krótkim czasie nauczyła się poznawać melodję „Podróży do Syrji“, ale w żaden sposób nie mógł nauczyć ją, by wymawiała własne imię: Stefanja!

Przez cały ten okres tortur podtrzymywała Filipa jednak nadzieja, której nie tracił na chwilę. Czasem, jesienią, gdy znajdował kochankę spokojnie siedzącą pod pożółkłą topolą, biedny kochanek kładł się u jej stóp i przez długie godziny patrzał w jej oczy, spodziewając się, iż strzeli z nich światło, że nieruchome i twarde spojrzenie odzyska przytomny wyraz; chwilami zdawało mu się, że oto łagodnieje jej wzrok, nabiera dawnego blasku, — a wówczas krzyczał:

— Stefanjo! Stefanjo! Ty mnie słyszysz, ty mnie widzisz!

Lecz ona słuchała dźwięku jego głosu tak samo, jak słuchała szelestu wiatru, poruszającego drzewem, jak słuchała ryku krowy, na której grzbiet lubiła się wspinać. I pułkownik w rozpaczy łamał ręce, szalał. Powtarzając się wciąż, przejścia te zwiększały jeszcze jego ból. Pewnego wieczoru, gdy niebo było spokojne i wielka cisza panowała w tem wiejskiem ustroniu, pułkownik zauważył zdaleka, iż baron nabija pistolet. Stary lekarz zrozumiał, że Filip stracił wszelką dadzieję; cała krew spłynęła mu do serca i jeśli oparł się zawrotnemu uczuciu, które nim owładnęło, to tylko dlatego, że wolał widzieć śwą siostrzenicę żywą i szaloną, niż umarłą. Pobiegł do barona.

— Co pan robisz! — krzyknął.

— To dla mnie, — odparł pułkownik, wskazując nabity pistolet, leżący na ławce, — a to dla niej! — dodał, przybijając stemplem.

Hrabina leżała obok ławki, na trawie i bawiła się kulami.

— Jakto, pan nie wiesz, — rzekł lekarz, usiłując pokryć udanym spokojem śmiertelny strach, — że dziś w nocy kilkakrotnie powiedziała przez sen: „Filipie!“.

— Wołała mnie! — krzyknął baron, rzucając na ziemię pistolet. Stefanja natychmiast schwyciła broń, ale pułkownik wyrwał ją jej z ręki, porwał z ławki drugi pistolet i uciekł do domku.

— Biedaczka! — westchnął lekarz, szczęśliwy, że ten niewinny podstęp udał się,

Przycisnął chorą do piersi, i rzekł:

— Byłby ją zabił! A to egoista! Chce cię zabić, ponieważ cierpi. Nie umie moja biedna dziecino, kochać cię dla ciebie! Ale ty mu przebaczasz, prawda? Jest on szalony, a ty jesteś tylko obłąkana... Nie, tylko Bóg ma prawo powołać cię do siebie. Jacyśmy głupi! Uważamy cię za nieszczęśliwą, dlatego, że nie bierzesz udziału w naszych troskach!... Tymczasem, — ty jesteś szczęśliwa, bo nic cię nie wzrusza; żyjesz, jak ptaszek, jak sarenka.,.

Hrabina zerwała się z jego kolan, skoczyła ku młodemu szpaczkowi, który skakał po trawie, schwyciła i go udusiła w dłoni, wydała okrzyk radości, potem spojrzała nań i rzuciła go u podnóża drzewa.

Nazajutrz rankiem, o świcie, pułkownik zeszedł z tarasu i, w przeczuciu czegoś szczęśliwego, począł szukać Stefanji, a nie znalazłszy jej, zagwizdał zwykłą melodję. Gdy kochanka przyszła, pułkownik wziął ją pod rękę i począł przechadzać sie z nią pod drzewami, z których melancholijnie spadały pożółkłe liście. Kiedy znaleźli się przy ławce, pułkownik siadł, a Stefanja sama usadowiła się na jego kolanach, Filip zadrżał z radości.

— Kochanie moje, — rzekł, całując namiętnie ręce hrabiny, — to ja, Filip!

Spojrzała nań ciekawie.

— Pójdź, — dodał, obejmując ją. — Czy czujesz jak bije moje serce? Ono bije tylko dla ciebie. Ja ciebie tylko kocham na świecie. Filip nie umarł, on jest tu, przy tobie. Tyś moja Stefa, a jam twój Filip.

— Żegnaj, — rzekła, — żegnaj.

Pułkownik zadrżał, gdyż wydało mu się, że jego wzruszenie udziela się kochance. Jego rozdzierający okrzyk, wywołany przez zbudzoną nadzieję, ten ostatni wysiłek niegasnącej miłości, szalonego uczucia, wskrzeszał zaćmiony rozum kochanki.

— Ach, Stefanjo, jak szczęśliwi będziemy!

A ona wydała okrzyk radości i w oczach jej zamigotał błysk inteligencji.

— Poznaje mnie!.. Stefanjo!..

Radość wezbrała w sercu pułkownika; oczy jego zaszły łzami. Lecz nagle hrabina pokazała mu kawałek cukru, który znalazła, obszukując mu kieszenie podczas jego przemowy. A więc wziął za ludzką myśl tę małpią radość ze znalezionego smakołyku... Filip zemdlał. Faujat znalazł hrabinę, usadowioną na nieruchomem ciele pułkownika. Ssała kawałek cukru, zdradzając żywe

zadowolenie minkami, które ongi, gdy była przy zdrowych zmysłach, zachwyciłyby, jako zabawne naśladowanie małego dziecka.

— Ach, drogi przyjacielu, — krzyknął Filip, odzyskawszy zmysły, — codzień, co chwila wydaje mi się, że umieram! Zbyt ją kocham! Zniósłbym wszystko, gdyby w swym obłędzie zachowała ona nieco kobiecości. Ale widzieć ją wciąż dziką, pozbawioną wszelkiego wstydu, widzieć...

— Pan by chciał teatralnego obłędu, — rzekł z goryczą doktór, — a pańskie poświęcenie miłosne podlega przesądom. Cóż to! Dla pana wyrzekłem się smutnej przyjemności karmienia mej siostrzenicy, ustąpiłem panu przyjemność zabawy z nią, a zachowałem dla siebie tylko najcięższe posługi przy chorej; czuwam przy niej w nocy, w dzień... A więc porzuć ją pan. Opuść tę smutną pustelnię. Potrafię żyć razem z tem biednem stworzeniem; bo rozumiem jej obłęd, śledzę każdy jej ruch, znam jej tajemnice. Kiedyś podziękuje mi pan...

Pułkownik wyjechał z Bons Hommes, a gdy zajrzał tam po pewnym czasie, doktór, przerażony był zmianą, która w nim zaszła, gdyż pokochał go niemal równie silnie, jak siostrzenicę. A z dwojga kochanków, stanowczo Filip był bardziej godzien litości: wszakże posiadał świadomość swego nieszczęścia. Doktór poprzednio dowiadywał się o niego i dowiedział się, że biedak zakopał się w swoim majątku w pobliżu St. Germain; gdzie wykonywał jakieś tajemnicze roboty.

Baron miał pewien sen, który uznał za proroczy i osnuł na nim plan przywrócenia hrabinie zmysłów. Bez wiedzy lekarza, spędził całą jesień na przygotowaniach do tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Przez park jego przepływała rzeczka, która w zimie zatapiała bagno, przypominając nieco to, które ciągnęło się wzdłuż prawego wybrzeża Berezyny. Wieś Satout wznosiła się na wzgórzu i górowała nad okolicą, podobnie jak Studzianka nad równiną Berezyny. Pułkownik wynajął robotników do przekopania kanału, który miał naśladować okrutną rzekę, co pochłonęła bogactwa Francji, Napoleona i jego armję. Kierując się wspomnieniami, Filip dość wiernie odtworzył w swym parku brzeg, na którym generał Eble wybudował mosty. Ustawił rusztowania i spalił je w taki sposób, aby naśladowały te sczerniałe, napoły zwęglone szczątki, które po obu stronach rzeki odegrały maruderom możność dalszego odwrotu ku Francji.

Pułkownik kazał uzbierać szczątki desek podobne do tych, z których jego towarzysze niedoli zbudowali tratwę. Zniszczył park, aby uzupełnić złudzenie, na którem opierał ostatnią swą nadzieję. Zamówił postrzępione uniformy i kostjumy i przebrał w nie kilkuset chłopów. Zbudował szałasy, namioty i baterje, poczem wszystko to podpalił. Jednem słowem, nie zapominając żadnego szczegółu, skopjował najokropniejszą scenę z odwrotu Wielkiej Armji. Udało mu się to w zupełności. W początkach grudnia, gdy śnieg przybrał ziemię w gruby biały płaszcz, jemu samemu wydało się, że widzi przed sobą Berezynę. Ta sztuczna Rosja była tak przerażająco wiernie odtworzona, że jego towarzysze broni poznali odrazu miejsce swych straszliwych cierpień. De Sucy trzymał w tajemnicy cel tej tragicznej panoramy, o której w swoim czasie mówiło całe towarzystwo paryskie, jako o szalonym pomyśle dziwaka.

W początkach stycznia 1820 roku pułkownik siadł do karocy, podobnej do tej, która wiózła hrabiego i hrabinę de Vandiéres z Moskwy do Studzianki i skierował się ku lasom w l'Isle-Adam. Do karocy zaprzęgnięte były konie, uderzająco podobne do koni, które Filip porwał z narażeniem życia, Rosjanom. Ubrał się w podarty i dziwaczny strój, przypasał szablę i pistolety, jednem słowem nadał sobie ten sam wygląd, co 29 listopada 1812 r. Zapuścił nawet brodę i włosy i zaniedbał tualetę, aby niczego nie brakowało w tym straszliwym obrazie.

— Odgadłem pański plan, — krzyknął Faujat, witając pułkownika, który wysiadł z karety. Ale jeśli pan chce, aby plan jego udał się, nie pokazuj się pan w tej karocy. Dziś wieczorem dam mojej stostrzenicy trochę opium. Podczas snu przebierzemy ją, jak pod Studzianką i wsadzimy do karety. Ja będę jechał za wami w powoziku.

O drugiej w nocy młodą hrabinę zaniesiono do karety, ułożono na poduszkach i przykryto ordynarną derą. Kilku chłopów z pochodniami asystowało przy tem dziwnem porwaniu. Nagle, wśród ciszy nocnej rozległ się przeraźliwy krzyk. Filip i lekarz, odwróciwszy się, ujrzeli Genowefę, wychodzącą niemal nago z komórki, w której sypiała.

— Dowidzenia, dowidzenia, to już koniec, dowidzenia! — krzyczała, płacząc rzewnemi łzami.

— Co ci to, Genowefo? — spytał Faujat.

Genowefa wstrząsnęła głową i pełna rozpaczy, wzniosła ramiona ku niebu, potem rzuciła wzrokiem na karetę i zamruczała coś, z widocznemi oznakami głębokiej rozpaczy i przerażenia. Wreszcie umilkła.

— To dobra przepowiednia, — krzyknął pułkownik. — Ta dziewczyna płacze, że nie będzie miała już towarzyszki. Pewnie *widzi*, że Stefanja odzyska zdrowe zmysły.

— Oby tak było, — odparł Faujat, widocznie wzruszony tą sceną,

Od czasu, gdy począł badać obłąkanych, napotykał u nich wiele przykładów daru proroczego i tego *podwójnego wzroku*, który zdaniem podróżników, zdarza się nietylko u obłąkanych, lecz i u ludów dzikich.

Zgodnie z obliczeniem pułkownika, Stefanja przebyła sztuczną równinę Berezny około dziewiątej rano. O sto kroków, na dany sygnał, wystrzelono z moździerza, czem zbudzono hrabinę. Natychmiast tysiąc wieśniaków wydało straszliwy jęk, podobny do tego, który przywitał i przestraszył ongi Rosjan, gdy nad Berezyną dwadzieścia tysięcy maruderów zobaczyło, że czeka ich śmierć lub niewola.

Na ten okrzyk, na odgłos wystrzału armatniego, hrabina wyskoczyła z karety, z wyrazem rozpaczliwego przerażenia, poczęła biedz po śnie-

gu, ujrzała spalone namioty i szałasy, tragiczną tratwę, którą puszczono na wody Berezyny. Major Filip stał na brzegu, młynkując w tłumie szablą. Hrabina de Vandières wydała okrzyk, od którego mróz przebiegł obecnych i zbliżyła się do drżącego z niepokoju pułkownika. Skupiła się i napoły przytomnym wzrokiem spojrzała na ten dziwny obraz. Przez mgnienie szybkie, jak błyskawica, oczy jej przybrały ten pozbawiony inteligencji wyraz, który widzimy w błyszczących oczach ptaków; potem przesunęła ręką po czole, jak to czyni osoba, rozmyślająca nad czemś; przyjrzała się roztoczonemu przed nią widokowi, temu żywemu wspomnieniu swej przeszłości, odtworzonej tutaj i nagle zwróciła głowę ku Filipowi. *Poznała go!* Śród zebranego tłumu panowało naprężone milczenie. Pułkownik drżał cały i nie śmiał wymówić słowa, doktór płakał. Piękna twarz Stefanji zlekka zaróżowiła się, poczęła nabierać ożywienia i wreszcie przybrała zabarwienie normalne, jakie spotykamy u młodych, świeżych dziewcząt. Po chwili była już rumiana. Życie i szczęście, ożywione promieniami rozsądku, zwyciężały, ogarniając ją, jak płomień. Konwulsyjne drżenie wstrząsnęło jej sercem, udzieliło się całemu ciału. Szalona praca, odbywająca się w mózgu hrabiny, stawała się świadoma. Stefanja żyła, myślała! Zadrżała — może ze strachu? Sam Bóg rozwiązywał przez lata milczący język i rzucał znów iskrę w tę wygasłą przed laty duszę. Wola, jak prąd elektryczny, ożywiała to ciało, tak długo bezwolne.

— Stefanjo! — krzyknął pułkownik.

— Ach, to Filip! — rzekła nieszczęsna hrabina.

Rzuciła się w drżące ramiona, które wyciągnął ku niej pułkownik, a ten uścisk kochanków przeraził obecnych. Stefanja tonęła we łzach. Nagle łzy jej wyschły, zmartwiała, jak rażona piorunem i rzekła słabym głosem:

— Żegnaj, Filipie!.. Kocham cię... Żegnaj!

— Ach, umarła! — krzyknął pułkownik, rozwierając ramiona.

Stary lekarz podtrzymał nieruchome ciało siostrzenicy; objął ją z czułością kochanka, wziął na ręce i usiadł z nią na kupie chróstu. Spojrzał na hrabinę i położył na jej sercu swą starczą, konwulsyjnie drżącą rękę. Serce nie biło.

— Więc to prawda? — rzekł z bólem, spoglądając kolejno na nieruchomo stojącego pułkownika i na Stefanję, której obliczu śmierć nadała wspaniałą, majestatycznie piękną aureolę, która jest może zapowiedzią szczęśliwego życia zaświatowego... Tak jest, umarła.

— Ach, ten uśmiech! — krzyknął Filip. — Spójrz pan na jej uśmiech! Czy to możliwe żeby nie żyła?..

— Już stygnie!.. — odparł Faujat.

Sucy zrobił kilka kroków, aby oddalić się od tego strasznego widoku, lecz po chwili przystanął i zazgwizdał melodję, którą zwykle przywoływał biedną obłąkaną. Ale kochanka nie przybiegła, więc oddalił się chwiejnym krokiem, zataczając się, jak pijany, wciąż gwiżdżąc, ale już nie odwracając się...

* * *

Generał Filip de Sucy uważany był w towarzystwie za człowieka nader miłego, a szczególniej za nader wesołego. Przed kilku dniami pewna pani winszowała mu w salonie jego dobrego humoru i zawsze równego usposobienia.

— Ach, pani, — odparł jej, — drogo płacę za mą wesołość, gdy zostaję wieczorem sam.

— Więc pan bywa kiedykolwiek samotny? — żartobliwie spytała.

— Nie, nigdy, — odparł z uśmiechem.

Gdyby baczny obserwator i znawca duszy ludzkiej ujrzał w tej chwili wyraz twarzy Filipa, niewątpliwie zadrżałby.

— Dlaczego pan się nie żeni? — nagabywała go dama, mająca kilka córek na wydaniu. — Jest pan bogaty, dobrze urodzony, utytułowany, posiada pan wielkie zdolności, ma pan przed sobą przyszłość, życie uśmiecha się panu.

— Tak jest, — rzekła z uśmiechem, ale tym, których zabija...

Nazajutrz niewiasta owa ze zdumieniem dowiedziała się, że baron de Sucy w nocy zastrzelił się. Wyższe towarzystwo długo nie mogło uspokoić się po tem samobójstwie i każdy chciał domyślеć się przyczyny tego kroku. Zależnie od gustu, każdy rozwiązywał zagadkę tę inaczej: jedni tłómaczyli katastrofę grą, inni ambicją lub zawiedzioną miłością, jeszcze inni ukrytymi grzechami jego życia. Nikt nie domyślił się, że był to ostatni akt dramatu, który sięgał jeszcze 1812 roku. Tylko dwaj ludzie: sędzia d'Albon i stary lekarz wiedzieli, że hrabia de Sucy należał do tego gatunku mocnych ludzi, którym Bóg dał tragiczną moc w codziennej walce z napastującym ich potworem: rozpaczą... Lecz, gdy na chwilę Bóg cofnie podtrzymującą ich potężną dłoń — padają oni pod brzemieniem.

KONIEC.

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA. 3)

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

— Prawdziwie, bracie, — wtrącił Rincon, — tak samo znajome nam są te wszystkie miana, jak sztuka latania w powietrzu.

— Chodźcie więc Waszmość ze mną a ja wam po drodze objaśnię znaczenie tych wyrazów i kilku innych, które wkrótce staną się dla was chlebem powszednim.

Puścili się tedy w drogę, a chłopiec począł wymieniać i objaśniać różne wyrazy z gwary, którą złoczyńcy tamtejsi się posługują, mieniąc ją *germanią*. O wielu innych jeszcze rzeczach gawędzili, gdyż droga była długa; między innemi zaś, Rincon zagadnął swego przewodnika:

— Czy Waszmość, proszę, też złodziej?

— Tak, — odrzekł zapytany, — Bogu na chwałę a dobrym ludziom na pożytek, dotychczas jednak nie bardzo jeszcze jestem biegły w rzemiośle, gdyż dopiero nowicjat odbywam.

Zauważył mu na to Cortado:

— Nową to dla mnie jest rzeczą, że bywają na świecie złodzieje Bogu na chwałę i dobrym ludziom na pożytek.

— Panie łaskawy, — odparł chłopiec, — nie znam się ja na teologji; wiem jednak, że każdy, jakiemkolwiek trudni się rzemiosłem, chwali Boga na swój sposób a Monipodio wydał nawet przepisy w tym względzie dla wszystkich swych podwładnych.

— Nie wątpię, — rzekł Rincon, — że mądre muszą to być przepisy, skoro pozwalają złodziejom kraść na chwałę Bożą.

— Tak są mądre, — odrzekł chłopiec, — że trudnoby było w czemkolwiek je udoskonalić. Monipodio nakazuje, aby każdy z nas ze wszelkiej kradzieży odliczał niewielką sumę na olej do lampy przed pewnym świętym obrazem, który znajduje się w tem mieście; otóż, bogobojny ten przepis sprawił, że istne cuda dane nam było oglądać. Nie dalej jak dni temu kilka potrzykroć zadano maglunek pewnemu chołociarzowi, który zjuchcił na targu dwa kwiczoły; ten, choć był wątły i w gorączce, zniósł wszystkie męki i nic nie wyśpiewał, jakgdyby nie czuł bólu. My wszyscy, wtajemniczeni przypisujemy ten cud jego wielkiemu nabożeństwu, później bowiem siły go opuściły na sam widok oprawcy i huśtawki. Lecz domyślam się, że ciekawi waszmość jesteście znaczenia niektórych słów, jakich użyłem, objaśnię więc je, nie czekając aż mię o nie spytacie. Wiedzcież waszmość, iż *chołociarzami* nazywamy pędziskotów, *maglunek* w naszym języku oznacza torturę, *kwiczoły* — to, z przeproszeniem, wieprzaki, *huśtawka* znaczy tyle, co szubienica. Nie dość na tem, co waszmości przed chwilą powiedziałem, gdyż co rano odmawiamy różaniec i mamy na każdy dzień tygodnia inną modlitwę. Jest przytem w naszem gronie wielu takich, którzy nie kradną w piątki, a w soboty zaprzysięgli nie wdadać się z żadną kobietą, którejby było Marja na imię.

— Wszystko to — istne skarby, — rzekł Cortado, — lecz proszę ja waszmości, czy skradzionych rzeczy nigdy nie zwraca się poszkodowanemu i czy żadnych pokut niema prócz tej, o której wspomniałeś?

— O zwrocie skradzionych przedmiotów — odparł chłopiec, — nawet mowy być nie może, gdyż łup zostaje podzielony na drobne części a każdy członek czy delegat bractwa zabiera do domu część, która przypada mu w udziale; w ten sposób sprawca kradzieży nic zgoła zwrócić nie może i tem mniej się o to troszczy, że nikt mu nie nakazuje podobnej zapobiegliwości, nigdy bowiem nie chodzimy do spowiedzi. Jeśli zaś się zdarzy, że klątwę rzucą na złodzieja, my się o tem nie dowiemy, gdyż nigdy nie bywamy w kościele w podobnych wypadkach, a tylko w uroczyste święta, kiedy duży napływ udzi zapewnia nam obfity połów.

— I przekonani panowie jesteście, — wtrącił Cortado, — że mimo to wszystko, życie wasze jest cnotliwe i bogobojne?

— A cóż złego robimy?— odparł chłopiec.— Czyż nie lepiej żyć, jak my żyjemy, niż zostać heretykiem, albo odstępcą, zabić ojca i matkę, lub być solomikiem?

— Sodomczykiem, chcesz waszmość powiedzieć, — zauważył Rincon.

— To właśnie, — rzekł chłopiec.

— I tak źle i tak niedobrze... Lecz skoro los zarządził, abyśmy weszli do owego bractwa, przyśpieszmy kroku; umieram bowiem z niecierpliwości ujrzenia mości Monipodia, o którym tak wielkie słyszę cuda.

— Rychło, — rzekł chłopiec, — spełni się życzenie waszmości, gdyż dom jego stąd już można dojrzeć. Waszmość pozostaną chwilę przed wrotami a ja tymczasem pójdę zobaczyć, czy Monipodio nie zajęty, bo o tej właśnie porze zwykł udzielać audjencji.

— Oby los był dla nas łaskawy! — zawołał Rincon.

Postąpili jeszcze kilka kroków naprzód i chłopiec wszedł do wskazanego przez się domu, który raczej bardzo źle, niż bardzo dobrze się przedstawiał. Dwaj nasi towarzysze pozostali przed bramą. Nie czekali długo, gdyż po chwili chłopiec ukazał się znowu. Weszli za nim a on kazał im czekać w niewielkim dziedzińcu, wybrukowanym cegiełkami a tak czystym i wymuskanym, że zdawał się być świeżo wymazany najszczerszym karminem. Po jednej stronie stała ławka o trzech nogach, po stronie przeciwległej — konew z odtrąconym wierzchem, a na niej dzbanek niemniej niż ona uszkodzony. Opodal znajdowała się mata szpagatowa a pośrodku doniczka z bazylją, jakie w Sewilli spotyka się na każdym kroku.

Chłopcy przyglądali się uważnie wszystkim tym przedmiotom, czekając rychło-li zejdzie do nich Monipodio. Widząc, że mistrz zwleka już dobrą chwilę z przybyciem, Rincon odważył się wejść do jednej z dwuch izb parterowych, które wychodziły na dziedziniec. Ujrzał tam na gwoździach zawieszone dwie szpady do szermierki i dwie tarcze korkowe; na podłodze stała wielka skrzynia, bez wierzchu, nie [przykryta niczem a koło niej rozłożone były trzy maty. Na przeciwległej ścianie widniał przyklejony do niej obraz Najświętszej Marji Panny, pośledniejszej roboty, pod nim zaś wisiał koszyczek z sitowia a w ścianę wmurowana była misa fajansowa. Rincon wywiódł, że koszyk był tam umieszczony zamiast skarbony do ofiar, a misa służyła za kropielnicę i jak się później okazało w istocie tak było.

Weszli tymczasem do domu dwaj chłopcy, w wieku lat koło dwudziestu, po studencku odziani a w chwilę po nich, dwaj pachołkowie z koszykami i jeden ślepiec. Nowoprzybyli nie wyrzekłszy słowa, poczęli przechadzać się po dziedzińcu. Wkrótce ukazali się jeszcze dwaj starcy, ustrojeni w bajową odzież i okulary, które miały dodawać im powagi i wzbudzać dla nich szacunek. Każdy z nich trzymał w ręku

różaniec o dźwięcznych paciorkach; za nimi weszła jakaś staruszka odziana w fałdzistą suknię i w milczeniu skierowała się ku izbie. Zaczerpnąwszy wody święconej z kropielnicy, uklękła pobożnie przed obrazem; po długiej chwili po trzykroć ucałowawszy ziemię i tyleż razy podniósłszy ku niebu ręce i oczy, powstała, rzuciła swój datek do koszyka i poszła przechadzać się wraz z innymi po dziedzińcu. W ten sposób zebrało się wkrótce koło czerdziestu osób a każdy niemal z przybywających inaczej był odziany i innem widocznie trudnił się zajęciem. Zjawili się też, jedni z ostatnich, dwaj dziarscy i wytworni młodzieńcy: mieli wąs suty a podkręcony, kapelusze o szerokich skrzydłach, kołnierze z rabatami, barwne pończochy z okazałemi podwiązkami, szpady dłuższe nad przepisaną miarę *), zamiast puginałów, pistolety i zawieszone u boku nosili puklerze. Ci, ledwo weszli, spojrzeli z ukosa na Rincona i Cortada, jakgdyby zdziwieni obecnością nieznanych im twarzy i zbliżywszy się do nich, spytali, czy należą do bractwa. Rincon odparł twierdząco na pytanie, dodając:

— Jesteśmy tutaj na usługi Ichmości.

Nadeszła chwila, że zeszedł z góry Imćpan Monipodio, z tak wielkiem upragnieniem oczekiwany od owego cnotliwego grona. Był to człowiek w wieku lat czterdziestu pięciu do czterdziestu sześciu, wysokiego wzrostu, o śniadej twarzy, zrośniętych brwiach, czarnej a gęstej brodzie i głęboko osadzonych oczach. Koszulę miał na sobie rozpiętą na piersiach, a był cały tak gęsto uwłosiony, że poprzez otwór istny las widniał na jego piersi. Miał na plecach płaszcz bajowy, który prawie do samych stóp mu spadał, obuty był w trzewiki, włożone na kształt pantofli; nogi miał pokryte przez szarawary płócienne, szerokie i tak długie, że dochodziły mu poniżej kostek. Na głowie miał kapelusz o dnie w kształcie dzwonu i powiesistych skrzydłach; przez pierś i ramiona — przepasany temblak, na którym wisiał miecz krótki, o szerokiej klindze, podobny do szpad, wyrabianych w Toledo, z wyrytym koło rękojeści pieskiem. Ręce miał krótkie i kosmate, palce grube, paznokcie szerokie a zagięte jak pazury; nóg nie było widać, lecz stopy miał potwornie szerokie i kościste.

Był to, w rzeczy samej, istny okaz barbarzyńcy, którego wnętrzna istota w niczem nie ustępowała owej surowej i nieforemnej powierzchowności. Wraz z nim wszedł do izby przewodnik naszych dwuch młokosów. Wziąwszy za ręce, Rincona i Cortada, w takich słowach przedstawił ich hersztowi bandy:

— Oto, mości Monipodio, owi dwaj młodzieńcy, o których waszmości mówiłem. Niechże ich W.Mość wyegzaminuje, a przekona się czy nie zasługują istotnie na to, byśmy ich przyjęli do naszego bractwa.

— Chętnie to uczynię — odparł Monipodio.

Zapomnieliśmy dodać, że ledwo Monipodio zjawił się sa progu, wszyscy obecni skłonili mu się głęboko. Jedynie dwaj na końcu przybyli wytwornisie, uchylili tylko jakby od niechcenia kapeluszy i powrócili do swej przechadzki po dziedzińcu. Nieco opodal przechadzał się Monipodio, pytając nowicjuszów czem się trudnią, skąd rodem i czyimi są synami.

Rincon odparł mu w te słowa:

— Czem się trudzimy, wiadomo, skoro przyszliśmy do Waszmości; miano, naszej ziemi rodzinnej i nazwiska naszych ojców, zda mi się, żadnej nie posiadają wagi, boć tu chyba nikt nie zechce uczcić nas jakimś zaszczytnym tytułem, lub orderem, aby trzeba było dochodzić naszej genealogji.

Ozwał się na to Monipodio.

— Dobrze mówisz, chłopcze; słusznie to, że ukrywasz te rzeczy, jeśliby bowiem los z czasem przeciw nam się obrócił, nie trzeba aby było napisane w księdze sądowej, lub w liście więziennej: „Piotr, czy Jan, czy Kacper, syn takiego a takiego, urodzony w takiej a takiej wsi, dziś został powieszony“ albo: „dziś chłostę odebrał“; te i tym podobne wzmianki niezbyt pochlebnie brzmią w cnotliwych uszach. Przyznaję więc, że słuszną jest to zabiegliwością, przemilczeć miano rodzinnego kraju, ukryć nazwisko swych ojców i własne zmienić; a choć między nami niema powodu cokolwiek ukrywać tymczasem spytam was tylko o wasze imiona chrzestne.

Powiedział więc Rincon swe imię, a za nim i Cortado toż samo uczynił.

(d. c. n.)

---

*) Zbiór praw hiszpańskich z roku 1564, ograniczał długość szpad, jakie wolno było nosić, do niespełna czterech stóp (¼ vara).

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE ZWIERZĄT.

Współczesne geograficzne rozmieszczenie zwierząt ma za sobą ogromnie skomplikowaną historję, w której odgrywają ważną rolę warunki klimatyczne i topograficzne, własności gleby, pożywienia, walka, jaką muszą wieść z wrogami i pasorzytami oraz organizacji rodzaju i jego większa lub mniejsza plastyczność, zarówno jak i geologiczne warunki dawnych czasów. Dzięki odkryciom, poczynionym w paleontologji paleogeografji, a w szczególności, dzięki niedawnym badaniom, nasze wiadomości o zamieszkaniu ziemi w ciągu ostatnich dwudziestu lat znacznie się rozszerzyły i wzbogaciły. Zastosowanie w nauce biologicznej metody doświadczalnej skłania się również do zmiany postaci różnych problemów biograficznych. Uczeni zaczynają rozumieć, że dlatego, aby uprzytomnić sobie skupienie gadzajów w jednej, jakiejkolwiekbądź miejscowości (lokalizację) nie wystarcza samo konstatowanie tunków, ale że konieczne jest uzupełnienie postrzegania przez doświadczenie, że trzeba zadawać przyrodzie takie pytania, ażeby otrzymać zdecydowaną i ostateczną odpowiedź. Rola doświadczenia w danej dziedzinie, może być bardzo duża, jak wskazują następujące przykłady:

W zasadzie, nasiona przeciętnej rośliny kiełkują na każdym gruncie. Ale czem wyjaśnić fakt, iż większa część gatunków tak ściśle przystosowuje się do określonych miejsc? Badania, dokonywane w Stanach Zjednoczonych, dowiodły, że rośliny wydzielają do gleby jadowite substancje. Fakt tych podziemnych wydzielin w pewnym stopniu wyjaśnia nam lokalizację wielu roślin. Rododendron, górska arnika (*Arnica montana*) i liczne alpejskie i podalpejskie rośliny rosną w każdym ogrodzie, choć zazwyczaj przestrzenie, w których wegetują ograniczone są górami; ale ogrodnik wypiela swe grządki, aby zniweczyć konkurencję między uprawianemi przezeń roślinami i pierwotnymi mieszkańcami gleby.

Większa część roślin, żyjących w nasyconych solą ucząstkach gleby, obywa się w zupełności bez morskiej soli, można je z łatwością hddować w ogrodzie: naprzykład za pomocą *Armeria maritima* często obrzeża się klomby. Rośliny rosnące na glebie, obfitującej w galman (ruda cynkowa) z łatwością mogą się obyć bez cynku, choć w przyrodzie są one w zupełności zależne od galmanu. *Massar* twierdzi, że jeśli rośliny słonych miejscowości, obfitujących w galman, nie rosną na zwykłych miejscach, jeśli alpejskie gatunki nie przenoszą się w doliny, to pochodzi to stąd, iż spotykają tam one groźnych rywali, którzy nie mogą iść za nimi do miejsc obfitujących w galman lub sól, ani na bardziej wysokie stoki gór. Brzozy rosną w najrozmaitszych miejscach, zarówno w suchych jak i wilgotnych, z wyjątkiem gruntów wapiennych. Ale pomimo to, drzewa te nie lękają się wapna, gdyż mogą bujnie rozrastać się w szczelinach skał wapiennych i na stokach wapiennych gór. Lecz rosną tam normalnie tylko wtedy, gdy nie potrzebują współzawodniczyć z innemi drzewami. To samo da się powiedzieć i o zwykłym widłaku *Caluna vulgaris* i paproci *Pteris aquilina*; unikają one wapiennych miejscowości, choć na zachodzie Irlandji rosną na wapiennych skałach, zapewne dlatego, że w Irlandji niema pewnych gatunków, stanowiących dla nich niebezpieczną konkurencję na gruncie wapnistym. Kiedy doświadczenia — konkluduje Massar—wyjaśnią stopień przystosowania gatunków i ich współzawodnictwo, wówczas, być może, potrafimy zrozumieć, dlaczego w każdej miejscowości spotykamy nietylko gatunki roślin, specjalnie do niej przystosowanych, lecz i te, rosnące w innych miejscach, w zupełnie innych warunkach.

Sfera rozmieszczenia danego zwierzęcia, lub rośliny, często podlega wybitnym zmianom: podwyższenie lub zniżka temperatury w ciągu całego szeregu lat, nagłe zniknięcie jakiegokolwiekbądź gatunku, służącego za pokarm, zjawienie się pasożyta i wyniki, do jakich to wszystko doprowadza harmonijnie rozwijającą się florę, lub faunę, jak również inne czynniki pociągają za sobą rozszerzenie, lub zwężenie sfery rozmieszczenia. Jest rzeczą ogromnie ciekawą i jednocześnie niesłychanie trudną śledzić zmiany sfery rozmieszczenia jakiegokolwiekbądź gatunku, w przeciągu całego szeregu lat, poczynając od zjawienia się pierwotnej formy, aż do obecnych czasów.

Paleontolodzy, dążący do rozwikłania tego problematu, przypuszczają, że każda forma zjawia się z początku w pewnej sferze, którą nazywamy punktem centralnym i rozprzestrzenia się stąd na wszystkie strony dotąd, dopóki nie napotka nieprzebytych przeszkód w postaci gór, wody lub braku odpowiedniego pokarmu i t. d.

Tymczasem obserwacje niewątpliwie dowodzą, iż dana forma nie powstaje w jednem tylko miejscu — lecz że może się ona zjawiać wielokrotnie i w najrozmaitszych strefach. Fakt ten

posiada doniosłe znaczenie dla biografji. Flora i fauna niektórych wysp i krai niekiedy zdradza olbrzymie podobieństwo z florą i fauną krajów bardzo niekiedy oddalonych i paleontolodzy nie mogą objaśnić tego podobieństwa na podstawie historji ziemi. Odkrycie *mnogiego pochodzenia* gatunków da nam możność rozwiązania niejednej zagadki w tej dziedzinie nauki. Z tego samego punktu widzenia, bardzo ciekawe są niedawne doświadczenia, dokonywane nad kwestją otrzymywania mieszańców. Mianowicie ustanowiono, że przez krzyżowanie można osiągnąć zjawienie się nowych, w zupełności stałych gatunków. Prócz tego botanicy dowiedli, że dla otrzymania gatunku mieszanego wystarczy, jeżeli ziarnko pyłku upadnie na znamię innego gatunku i pocznie się rozwijać. U powstałego wskutek krzyżowania mieszańca w drugiem pokoleniu zachodzi rozdzielenie cech, zgodnie z prawami *Mendla*, wskutek których jednocześnie z nowemi roślinami otrzymujemy również okazy, w zupełności podobne do formy pierwotnej. Jest to ważne dla kwestji o przenoszeniu rośliny na wielką przestrzeń. Uczeni wielokrotnie spierali się nad kwestją rozsiewania nasion—biernego i czynnego, za pomocą którego rozprzestrzenia się życie na oddalonych wyspach i lądach.

Widzimy stąd, że dlatego, aby dana roślina mogła się dostać na wyspę, zazwyczaj nie jest konieczne, ażeby ciężkie nasienie, udawało się w długą podróż. Wystarczy wprost ziarenko pyłku.

(d. c. n.). *S. D.*

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Plamy na słońcu.

Rok 1913 jest okresem czasu, podczas którego można obserwować wzmocnioną działalność słońca, wyrażającą się w zwiększeniu się plam na powierzchni tego króla planet. Wydaje się to dziwne na pozór, że mówi się o wzmożonej działalności słońca, skoro powierzchnia jego się zaciemnia, ale tak jest w istocie.

Na słońcu są ciągłe wybuchy, które z siłą, jakiej sobie nawet wyobrazić nie możemy, wstrząsają ognistą atmosferą tej planety. Niekiedy bywają tak silne, że rozdzierają ognistą powłokę atmosfery słonecznej. Ku wytworzonej w ten sposób przepaści, której średnica bywa niekiedy pięć razy większa, niż średnica kuli ziemskiej, ściągają kolosalne snopy pary metalicznej. Skutkiem zaś oziębienia, jakie tam je spotyka, zamieniają się one w rodzaj świecącego deszczu.

Pod wpływem zwiększającego się gorąca, ciała te znów zamieniają się w parę, tracąc swą właściwość świecenia. Owa przepaść wypełnia się ciemnościami i w ten sposób powstają na słońcu plamy.

Posiadają one kształty bardzo nieregularne. Rozszerzają się, gdy posiadając większą ilość gazu, zmniejszają się, zaś, skoro ten gaz wyrzuca z siebie, tak zwane pochodnie t. j. języki ogniste, sięgające od jednego brzegu przepaści do drugiego.

Zjawieniu się plam na słońcu towarzyszą t. zw. protuberancje. Są to jakby wybuchy kotła, przyczem wylatują snopy ogniste długości przeszło 300,000 kilometrów!.. W czasie zaćmienia słońca, gdy księżyc zakryje zupełnie jego powierzchnię, te protuberancje dają się obserwować z łatwością. Przedstawiają się one wtedy pod postacią wibrującego pola fal świetlnych, dookoła czarnej tarczy.

Plamy słoneczne posiadają barwę ciemno-fijoletową a pojawiają się w określonych odstępach czasu. Mianowicie osiągają największe natężenie co lat jedenaście, dlaczego?... tego nie wiemy. Wydaje się tedy, jak gdyby jedno „odetchnięcie“ słońca trwało lat dziesięć, jak gdyby serce naszego systemu planetowego uderzało tylko dziewięć razy w ciągu stulecia.

W początkach każdego takiego perjodu plamy pojawiają się naprzód w okolicach biegunów słońca i mają wtedy wygląd eliptyczny, z powodu zwykłego objawu optycznego. W miarę, jak zwiększa się czynność słońca, zwiększają się także rozmiary plam, które poruszają się ku równikowi planety, gdzie stają się największemi.

Plamami na słońcu zajmują się uczeni dopiero od początku XVII wieku. W roku 1611 astronom Jan Fabricius pierwszy stwierdził, że są one objawami, pochodzącymi od samego słońca. Obserwowanie zaś ich ruchów pozwoliło mu stwierdzić ruch obrotowy słońca koło swej osi w ciągu 25 dni.

Tworzeniu się plam towarzyszą objawy elektryczne tak silne, że mogą odbijać się nawet na naszej planecie. Daje się to naprzykład spostrzegać na igle magnesowej, którą wstrząsają niezwykłe prądy i na aparatach telegraficznych, które podlegają zaburzeniom, a w okolicach bieguna magnetycznego na horyzoncie ukazują się wspaniałe zorze, gazy wybuchają niespodziewanie w kopalniach, wulkany zaczynają być niespokojne — jednem słowem nasza planeta, zawdzięczająca swe życie słońcu, w całej pełni odczuwa jego wstrząśnienia...

Tytoń a nerwy.

Niedawno we Frankfurcie nad Menem odbył się zjazd lekarzy niemieckich specjalistów od chorób nerwowych. Między innemi sprawami omawiano obszernie choroby nerwów, powstające wskutek nadmiernego używania tytoniu.

Profesor Froehlich z Wiednia na podstawie własnych doświadczeń twierdzi, iż tak nieznaczna ilość nikotyny dostaje się przy paleniu do organizmu palącego iż palenie nie może wywołać choroby śmiertelnej. Tylko ten, kto przez lata całe pali bardzo dużo, naraża zdrowie na szwank.

Objawy zatrucia przy pierwszych próbach palenia powsta-

ją wskutek porażenia systemu nerwowego, nie są jednak wcale szkodliwe. Palenie więcej działa szkodliwie na organy oddechowe, działając najprzód podniecająco, a potem obezwładniająco. W drugim dopiero rzędzie skutki nikotyny odczuwa serce, dalej naczynia krwionośne, w końcu aparat trawienia. Badania chronicznego otrucia nikotyną jest nadzwyczaj trudne, ponieważ organizm nigdy się nieprzyzwyczaja do trucizny tytoniowej. Jak długo nikotyna pozostaje w organizmie ludzkim, kiedy i jak organizm jej się pozbywa — tego dotychczas nie zbadano. Wiadomo jednak, że ci, którzy palą cygara bez cygarnicy, gryzą koniec cygara, na większe wystawieni są niebezpieczeństwo. W rezultacie prof. Froehlich przestrzega przed nadmiernem paleniem.

Profesor Frankl-Hochwart z Wiednia twierdzi na mocy swoich doświadczeń, że nie zauważył nigdy objawów nerwowych u tych, którzy palą fajkę. Z 800 mężczyzn badanych przez profesora Frankla, a uważających się za zdrowych, 230 nie paliło Z 570 palących tylko trzecia część skarżyła się na chwilowe niedomagania. Przy badaniu 700 innych palących profesor stwierdził, jako zatrucia nikotyną: bóle głowy, omdlewanie, bezsenność, złe usposobienie, utrata pamięci. Objawy te jednak szybko ustępowały po zaprzestaniu palenia. W ostatecznym wniosku prof. Frankl nie zabrania umiarkowanego używania tytoniu, ostrzegając przed jego nadużyciem.

Zgodnie stwierdzono, że palenie szkodzi młodzieży przed ukończeniem 18 lat,

Nowy rekord światowy w biegu godzinnym.

Na torze stadjonu w Sztokholmie odbył się bieg godzinny, w którym wziął udział także francuski szampion, Jean Bouin Wynik biegu stanowił sensację, gdyż zwycięzca Bouin stworzył nowy rekord światowy. Mianowicie w ciągu godziny przebył 19 klm. 21 m. bijąc rekord Shrubbsa z 1904 roku o 281 m. W biegu wzięło udział 30 spółzawodników. Bouin pokonał ich wszystkich z łatwością. Międzyczasy Bouin'a przedstawiają się następująco: 5 klm. — 15.38; 10 klm.— 31.25; 15 klm, — 47.18 a 19.021—godzina,

Niezwykły wynalazek.

Nad niezwykłym wynalazkiem w dziedzinie kolejnictwa pracuje od dłuższego już czasu wynalazca amerykański, Emil Bachelet w Nowym-Jorku. Chce on zbadać wiszącą kolejkę, któraby wedle jego teoretycznych obliczeń, poruszała się z szybkością 500 km. na godzinę. Niezwykła ta kolejka jest tak skonstruowana, że wagony będą miały do zwalczania jedynie opór powietrza, natomiast tarcie o szyny jest zupełnie usunięte, ponieważ potężne elektromagnesy unoszą wagon w wysokości kilku milimetrów ponad torem. Ważną częścią składową konstrukcji mają być tak zwane solenoidy (zwoje drutu przez które przepływa prąd elektryczny, a które zachowują się jak magnes). Solenoidy te ciągną naprzód wagoniki, a równocześnie umożliwiają kierowanie.

Praktyczne doświadczenia nad działaniem swej konstrukcji wykonywa inżynier Bachelet na próbnym torze, długości mniej więcej dziesięciu metrów. Małe wózki, wagi ośmiu kilogramów obciążone prócz tego 29 kilogramami, wznoszą się w wysokości 12 mm. nad szyną, a solenoidy nadają im niezmiernie szybki ruch naprzód. Bachelet oblicza, że przy zastosowaniu śmigła aeroplanowego do poruszania wózków można by osiągnąć olbrzymią chyżość ruchu, wynoszącą do 500 km. na godzinę. Czy jednak uda się pomysł urzeczywistnić?

Na pytanie to odpowiedział niedawno jeden z wybitnych techników kolejowych, M. Geitel, jak następuje; „Próby dokonane przez Bacheleta dowodzą, że pomysł jego da się praktycznie urzeczywistnić. Ale co innego mały tor próbny i małe próbne wózki, a co innego tor prawdziwy i ogromne wagony kolejowe. I mojem zdaniem pomysł, aczkolwiek w zasadzie piękny i dobry, nie da się urzeczywistnić na wielką skalę. Tak sądzę chociaż nie upieram się bynajmniej przy tem zdaniu. Nie wolno zapominać, że w dzisiejszym rozwoju techniki wszelkie proroctwa i przepowiednie nieraz okazują się zawodne, a niejeden pomysł uważamy narazie za niemożliwy do urzeczywistnienia twór fantazji, zdobywa sobie prawo bytu wbrew wszystkim przewidywaniom pesymistów“.

Bachelet nie zaprzestaje prób ze swym wynalazkiem, nie zraża się ujemnymi krytykami kolegów w zawodzie, lecz pracuje nad dalszemi udoskonaleniami. Niedaleka już zupewne przyszłość wykaże, czy sprawdzą się jego nadzieje zastosowania wynalazku na wielką skalę. Bądź co bądź wynalazek stałby się przełomowym w dziedzinie środków komunikacji, i wprowadziłby zasadnicze zmiany w stosunkach.

Wynalazki kobiet.

„Kobiety nie dorównają nigdy mężczyznom na polu wynalazków“. Tak się zwykle mówi. Czy słusznie? Przeczy temu twierdzeniu liczba patentów na wynalazki kobiece, udzielanych rok rocznie. A już od lat stu kobiety współubiegają się z mężczyznami na tem polu. W roku 1809 niejaka Marja Kiess, w Niemczech, otrzymała patent za udoskonaloną maszynę tkacką. Następna kobieta zdobyła patent w r. 1815 za ulepszone kopyto do szycia trzewików, w r. 1819 inna — za przyrząd kuchenny. W r. 1833 we Francji, trzy kobiety otrzymały patenty na wynalazki. Liczba ich odtąd wciąż wzrasta w Europie. Na początku XIX w. na 500 patentów, jeden przypadł w udziale kobiecie. W ostatnich latach tego wieku—jeden na 115, a dziś — jeden na 75. Jakież wynalazki robią kobiety? Wszelaki—od teleskopów i łodzi podwodnych do lamp. Lecz bliższe rozpatrzenie się wykazuje, że $^{5}/_{6}$ wynalazków kobiecych ogarnia potrzeby życia domowego. To też na 713 patentów, uzyskanych przez kobiety w ciągu półtrzecia roku, 146 tyczyło ulepszeń w stroju, 114—w przy-

rządach kuchennych, 35 odnosiło się do mebli, 52 do czyszczenia ubrań i prania, było 31 patentów na aparaty do ogrzewania, 29 na zabawki, 34 na nowe maszyny do szycia, 83 na artykuły medyczne, 22 na przyrządy budowlane, 18 na kufry, torby podróżne, 10—na tapety, 6—na namioty i t. d. Były też wynalazki w zakresie bicyklów, ba, nawet automobilów, podków, maszyn do pisania, maszyn drukarskich i t. p. Te cyfry i rodzaj wynalazków przekonywa, że kobiety nie są tak pozbawione zmysłu inwencyjnego, jak przypuszczano przez tyle wieków.

Nowy stop.

W Ameryce wynaleziono stop kobaltu z chromem, który może współzawodniczyć co do twardości i trwałości z najlepszymi gatunkami stali narzędziowej. Jedną jednak z najwięcej godnych uwagi własności tego stopu jest jego odporność na wpływy chemiczne, gdyż dorównywa on pod tym względem złotu. Stop ten nie znajduje się jeszcze w handlu, jednakże dokonane próby dają pewność, że będzie się on doskonale nadawał do wyrobu dokładnych narzędzi i noży, a szczególniej do wyrobu najdelikatniejszych narzędzi chirurgicznych. Ciekawe bardzo wyniki dała między innemi próba dokonana na bardzo szybko obracającej się tokarce. Pod wpływem wysokiej temperatury, spowodowanej szybkim obrotem, ostrza narzędzi stalowych zostały zupełnie stopione, gdy tymczasem narzędzie zrobione ze stopu chromo-kobaltowego pozostało zupełnie nienaruszone.

Przyszłość żeglugi powietrznej.

Pewien specjalista angielski zaprzecza powszechnie znanemu twierdzeniu, iż wiele lat praktyki potrzeba będzie jeszcze, by w dziedzinie żeglugi powietrznej stworzyć coś praktycznego. Przeciwnie: obecny stan techniki pozwala nam osiągnąć już co tylko jest możliwem do osiągnięcia na tem polu. O ile chodzi o balony, to zdaje się, że nic nie stoi na drodze ku powiększeniu wymiarów balonu systemu sztywnego. Jeśli wymiary ich zwiększą się dwa razy, to siła nośna będzie większą osiem razy; w tym wypadku siła poruszająca musiałaby zwiększyć się o 4 razy. Inaczej rzecz ma się z samolotami: przy podwojeniu ich rozmiarów, mogłyby one zabierać dwa razy więcej paliwa; jednocześnie należałoby podwoić siłę poruszającą, by otrzymać poprzednią szybkość. W ten sposób nic nie wygralibyśmy. O ile chodzi o praktyczne wyniki, to jeden człowiek nie mógłby długo pełnić służby wywiadowczej na samolocie. Na morzu zaś w szczególności, w mglistych okolicach wysp brytańskich, zakres służby samolotów jeszcze bardziej jest ograniczony.

Ulepszenie telefonów.

W Ameryce zaczęto stosować urządzenie, pozwalające na jednoczesne oznajmianie w wielu salach na dworcu kolejowym o odjeździe i przyjeździe pociągów. Urzędnik, pełniący służbę, oznajmia odejście pociągu, mówiąc do specjalnego telefonu, z którego głos rozchodzi się do kilkunastu telefonów, zaopatrzonych w tuby i rozmieszczonych w poczekalniach dworca kolejowego. W ten sposób publiczność słyszy głośne i wyraźne oznajmienie o przyjściu i odejściu pociągów jednocześnie we wszystkich salach, nie będąc narażoną na omyłki, powstające z powodu zmieszania się dźwięków z echem.

Nowa pompa.

W Anglji wynaleziono nową pompę, która ma posiadać własności, niespotykane dotychczas u maszyn podobnego rodzaju. Pompa np. ma ssać bez uprzedniego zalania wodą przewodu ssącego. Trwałość poszczególnych części jest podobno duża. Pompy te, o wielkiej liczbie obrotow, przeznaczone są do napędu elektrycznego. Pozatem zajmują one mało miejsca i są względnie tanie.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa”. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.